№ 28. Warszawa, dnia 26 Czerwca (8 Lipca) 1876 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Wyjątek z opisu misyi
KS. ADOLFA BAKANOWSKIEGO
w Ameryce w prowincyi Texas.

(Dalszy ciąg).

III.
Podróże misyjne.

Rozległość misyi naszej texaskiej od wioski „Gazet" aż do miasta „Bandery" 200 mil angielskich przestrzeni, bez kolei żelaznej, niemało sprawia utrudzenia wśród skwarów i niedogodności miejscowych podróżującym. Po trzyletniej naszej tam pracy mieliśmy już kilka polskich kościołów. W San Antonio i w Martyńcu kościoły murowane, przy nich podobnież pomieszkania dla księży. Jako przełożony tej misyi, musiałem od czasu do czasu zwiedzać wszystkie polskie osiadłości. Oprócz kolei żelaznej, nie ma tam podobnież w wielu miejscach nawet wozów pocztowych, misye nasze i w tem właśnie cierpiały niedostatek; tylko komunikacya listów ułatwiona konno. Więcej nadto miałem trudności, że do niektórych miejsc nawet drogi utartej nie było. Musiałem nieraz jak żeglarz na morzu z kompasem szukać drogi wśród zarosłych chwastów i krzewin texaskich.

W podróżach trzeba całą kuchnię zabierać z sobą; wyjąwszy miast, nie ma tam zajezdnych domów, gdzieby można było przenocować, lub przynajmniej popaść i na chwilę odpocząć. Trzeba nocować w polu pod sklepieniem niebieskiem. Kraj po większej części dziki, mało zaludniony i stronami po kilkudniowej podróży ani domku nie widać. Zresztą powszechna bojaźń i wzajemna nieufność ludzi, tak iż niewolno nawet podróżnemu zbliżyć się do nieznanego mu domu.

Miałem mały parokonny powozik do obsługi miejsc dalszych, do bliższych zaś małego texaskiego wierzchowca. Maleńki piesek *Lamurek* był zawsze moim wiernym stróżem i towarzyszem podróży. Jak tylko zobaczył wyciągnięty wóz z wozowni, zaraz kładł się pod nim, i już nie dał się ztamtąd odciągnąć, nawet ulubionemi mu resztkami z objadu. Do wszystkich miejsc misyi znał już doskonale wszystkie kręte drożyny, i zawsze biegł naprzód koni, tropiąc stare zadawnione ślady. Już zdala zaledwo zoczył domy — cel naszej pielgrzymki, biegł parę mil angielskich naprzód, i począwszy od domu zwykłej naszej gospody, obiegał z kolei wszystkie polskie domy, i pokazawszy się tylko na progu każdego, spieszył do domu — gdzie przedtem dostał smaczny poczęstunek. Tam pochlebnem szczekaniem przypominał dawną dla siebie gościnność, dopominając się o powtórzenie. Nim rozpakowałem się i chwilę wypocząłem, już mój piesek powrócił, pokręcił się koło mnie i odebrawszy kilka pogłaskań, kładł się w cieniu na spoczynek. Doskonale pojmował swój obowiązek; w nocy czynny, zwłaszcza w drodze, ani kroku ode mnie nie odstępował, nieraz zbudził mnie zesnu, gdy spostrzegł pełzającego ku mnie węża, pająka lub jakiegokolwiek płaza, tem więcej za zbliżeniem się zwierza lub człowieka.

Miasto „San Antonio" mające 18 tysięcy ludności, zbudowane jest na ninizie po obu stronach rzeki pod temże imieniem. Położone o 55 mil angielskich od Panny Maryi, półtora dnia drogi. Niewielkie to ale piękne miasto ma domy po większej części murowane. Pięć katolickich kościołów: meksykański, niemiecki, angielski, francuzki i polski, wszystkie murowane. Dwa klasztory: męzki, Christian Brothers, i żeński Urszulinek, przytem szpital pod opieką siostr „Incarnation." Ludność największa meksykańska; dla tego każden trudniący się tam jakimkolwiek handlem, musi znać język meksykański mający podobieństwo do hiszpańskiego.

Raz wybierając się do San Antonio, rzekłem do pana Bąrzyńskiego:

— Jutro pojedziemy do San Antonio. Dzisiaj z wieczora musimy wszystko przygotować do podróży: chleb, mięso, masło, jaja, rądle i t. p. Musimy wyjechać raniutko i dopędzić naszych braci, którzy pojechali wczoraj z furami napełnionemi kukurydzą, ku wieczorowi musimy ich dopędzić, będzie nam weselej i bezpieczniej razem nocować.

Na drugi dzień, po odprawieniu Mszy św. i dobrem śniadaniu, zaprzęgliśmy konie i wyruszyliśmy do San Antonio.

— Za pozwoleniem dobrodzieja! jeszcze chwilę, odezwał się p. Barzyński, muszę sobie kupić śrutu, a po drodze zabiję uszatego (zająca). Piesek tymczasem już wybiegł naprzód i czekał na rozstajnej drodze kierunku zamierzonej podróży. Ranek był pogodny i świeży, po krętych ścieżkach i drożynkach widać liczne bydło domowe, jak z zagród wypuszczone rozchodziło się w różnych kierunkach, szukając pożywniejszej trawy. Na łąkach rżą konie, przy nich wesoło hasają źrebięta, tam dalej jakieś dziewczę pędzi cielęta do obory, a inne z drugiej strony gęsi i kaczki do wody. Słychać jak nuci pieśń pobożną. Z odległych ogrodów widać na roli pracujących naszych gospodarzy polaków, a w ich domach żony z dziećmi podobnież czemś zatrudnione. Spotkani po drodze witają i żegnają Bogiem, prosząc prędkiego powrotu. Zdawało się, że cała przyroda nietylko chciała radość okazać dla ludzi tych pracujących z chwałą Bożą, ale im nawet w onej dopomagać. O! pięknie to zaiste, gdy człowiek pracując chwali Boga, który go do tej pracy stworzył, a od którego pomyślny jej skutek zależy. Bodajby tak zawsze było i pozostało u nas!

Już minęliśmy Pannę Maryę, jej lasek, i jedziemy dalej. Zdala Barzyński zoczył zająca, ja niedaleko drogi grzechotnika, aleśmy się nie zatrzymywali, je-

chali dalej korzystając z chłodniejszej pory przed południowym upałem. Po drodze spotykaliśmy rozmaitych ludzi, jednych na koniach, drugich na wozach, a każdy uzbrojony, i jakoś niepewnie i dwuznacznie spogląda. Jechaliśmy tak bez spoczynku 18 mil angielskich aż do Muszkieciny (*). Tu zwyczajnie nasi stają na popas, i my zatrzymaliśmy się na objad. Konie zgrzane, na zegarze pół do dwunastej. Słońce coraz bardziej poczyna przypiekać, i nasz mały psina chociaż już oddawna jechał na wozie, ale widać że i tam mu było gorąco, bo potężnie wywiesił język, i mruczał żeby już stanąć na popas. Wyprzęgliśmy konie, spętawszy puściliśmy na trawę, a sami potem znosiliśmy drzewa, patyki i patyczki do zrobienia ognia. Już wszystko przygotowano, ogień bucha w górę, a przy nim z jednej strony gotuje się woda do kawy, z drugiej smarzy się słonina, do niej dorzucamy kiełbaski i kawałki kury.

— Ależ nie wszystko razem p. Barzyński, trzeba nam pamiętać o wieczerzy i jeszcze o jutrzejszem śniadaniu.

— O! co tam myślić o jutrze, a flintę po co wiozę z sobą. Zabiję z parę zajęcy, z kilka przepiórek, a może i z parę kaczek na jeziorze to będziem mieli co jeść.

— O, panie! to tylko może! Jednak nie życzyłbym sobie być w drodze bez wieczerzy a następnie na drugi dzień bez śniadania; pytanie czy na razie dostaniemy co do zjedzenia w San Antonio. Pan wiesz jaki tam u księdza porządek z kuchnią.

Gwarząc tak pod cieniem drzewa, dopalająca się głownia padła na rądle, i słoninę zasypała węglami, a wodę do kawy wywróciła. Ot! cóż my teraz będziem jedli? Cały obiad zniszczony, ledwo widać kiełbaski! Musimy zjeść to co się da, nic innego nie ma, a głód dokucza, wodę trzeba zagrzać inną. Szukamy naszej beczułeczki, ale i tu przypadek; przez nieuwagę wyciekła z niej woda. Teraz bieda; musimy brać z rowu, gdzie pije i kąpie się bydło. Biorę tedy beczułkę i idę do bliższego rowu po wodę. Ledwom się zbliżył, aż tu bulk do wody ogromny wąż, za chwilę drugi, tam trzeci. Oj! żeby mi który nie wlazł do beczułki. Schylam się i nabieram. Woda ta zupełnie wyglądała jak kawa z mlekiem, wszakże dodaliśmy do niej nieco kawy i cukru, i zjedliśmy z apetytem nasz objad. Słonina posypana węglami zgrzytała w zębach, ułatwialiśmy połknięcie mleczną kawą a w rzeczy samej kałużą. Po obiedzie, sprzątnąwszy wszystko, położyłem się pod cieniem trochę drzemnąć, a p. Barzyński wziął dubeltówkę i poszedł na polowanie. Za chwilę usłyszałem strzał, wnet drugi, dalej już nie wiem, bom zasnął. Ocknąwszy się koniom wsypałem kukurydzy, sam zaś odmawiałem brewiarz. Po skończeniu znowu puściłem konie na trawę, wyglądając pana B. Wtem w sąsiednim krzaku spostrzegłem wijącego się węża, za zbliżeniem poznałem że grzechotnik. Biorę rewolwer, palę, nie trafiam, palę drugi raz bliżej, znowu nie trafiam. Wąż rozdrażniony szelestem krzaku od kuli i tak nadzwyczajnym hukiem blisko siebie, podniósł łeb, wyprężył się w górę i mierzy wprost we mnie. Wtedy oburącz wziąłem rewolwer i z tego samego miejsca palę raz trzeci. Tą razą trafiłem, kula węża przeszyła, zaraz się przewrócił, i począł kąsać sam siebie. Nie tracąc więcej nabo-ju, dobiłem go kijami. Tymczasem nadszedł pan Barzyński dźwigając w torbie dwa zające.

— Doskonale, mamy wieczerzę; teraz zaprzegajmy i jedźmy dalej, już czwarta godzina.

W ciemnej nocy dojeżdżaliśmy zwolna do naszego obozu z samych ziomków złożonego, rozpoznając ogniska gęsto po polu rozrzucone. Tu i owdzie widać ognie z wozami pakowanemi towarami z portu Indianola do San Antonio. Widać jak jedni się kręcą, drudzy sporządzają jedzenie, i o czemś gwarzą wesoło. Aż wreszcie nieco dalej poznaliśmy ogień naszych ziomków, bo wielki, a przy nim hałas i krzyk największy.

— Ho, ho! jakże się macie, przecież dopędziliśmy was, będzie nam weselej i bezpieczniej nocować. Zaraz rozprzęgliśmy konie, powiązali do dębczaków na długich powrozach i zabieraliśmy się do wieczerzy.

— A macie co do jedzenia. U nas już po wszystkiem, jednak oto dwa zające, smażcie, będziem jedli.

Tymczasem wziąwszy burnus pod głowę zamiast poduszki, położyłem się na trawie trochę odpocząć, a właściwie posłuchać rozmowy naszych braci.

— Nie masz księżyczku jak w naszym starym kraju, człowiek sobie zajechał do oberży, zjadł i wyspał się wygodnie bez żadnej troski o konie, a tutaj trzeba spać w polu, razem z wężami, pająkami, i co chwila wstawać, czy kto koni nie ukradł, a przynajmniej czy się nie poplątały, i czy wreszcie jaka bestya, lub złodziej nie przyszedł.

— Co tam będziemy rozprawiać o starym kraju, odrzekłem, jesteśmy w Ameryce, a w tej chwili na polu, i czyż nam źle? Zresztą musimy się uczyć tutaj ufać Opatrzności Bożej. Słyszeliście i pewno widzieliście sami, tyle rozmaitych wypadków, jakie się zdarzały między nami. Ileż razy bliscy byliśmy śmierci, a jednak Bóg nas ocalił. Nieraz matka zostawiwszy niemowlę bawiące się na trawie, sama odejdzie choćby na chwilę do jakiej roboty, potem wróciwszy do dziecka znajdzie koło niego śmiertelnie jadowite pająki, robaki, a nieraz i węża. Raz jedna przechodząc w nocy próg domowy, stąpiła bosą nogą na węża, po ciemku czuła tylko pod stopą coś niezwyczajnego, coś zimnego a miękkiego i dopiero przy świetle kaganka, zobaczyła że to grzechotnik.

— Księżyczku, są tu takie straszne węże, o jakich nigdy nie słyszeliśmy! Raz mi opowiadał jeden Amerykanin, że kiedy jechał konno przez las, nagle stanął mu koń na drodze, i nie chciał iść dalej, potem począł drgać i tak trząsł się iż ledwo mógł ustać na nogach, oglądał się w tę i ową stronę, coby to miało znaczyć, czy kogo nie zoczył, aż wreszcie spostrzega ogromnego węża, obwinionego w około dęba z otwartym pyskiem. Chciał zmusić konia do ucieczki, ale nie mógł go z miejsca poruszyć, potem z konia zeskoczył i ledwo go cuglami odciągnął, a że nie miał przy sobie żadnej broni, pojechał więc czemprędzej do pobliższego domu po rewolwer, ale wróciwszy już węża nie znalazł.

Wtem dały się słyszyć stada wilków wyjących.

— Czy słyszycie zapytałem, jaka muzyka!

— Księżyczku, jak my pozasypiamy, to one przyjdą aż do naszych kępów, (miejsce popasu), i będą kradły chleb, mięso, co popadną. Ognia wcale się nie boją, bo w polach ciągle się pali, i już się z nim oswoiły, a nawet wiedzą dobrze, że gdzie ogień tam jest coś do zjedzenia. I byle tylko koło ognia wszyscy ucichli i zasnęli, wnet przychodzą i gospodarują w najlepsze. Raz mi w nocy z pod głowy wyciągnęły chleb.

— I czyż wąm głowy nie nadgryźli?

— O! powtórzyli wszyscy, człowiekowi nigdy nic nie zrobią, jeszcze podobnego przypadku nie było, jak to w starym kraju.

— A wy czyście się obudzili?

— A tak, ale wilk chleb porwał i uciekł, odtąd już co mam do zjedzenia, zawsze chowam w wozie.

Gwarząc tak i o tem i owem, w końcu usnęliśmy. Na drugi dzień raniutko ledwo świtać poczęło, już śniadanie było przygotowane, konie dojadały kukurydzę, i my po śniadaniu ruszyliśmy dalej w drogę.

Zdala na kilka mil widać San Antonio. Oto z tej strony nasz kościół, widać drzwi jego otwarte, zapewne odprawia się nabożeństwo. Nareszcie stanęliśmy przed domem. Po przywitaniu się, rozmowie, i chwili wypoczynku, poszedłem do miasta dla załatwienia interesów, jak to zwyczajnie podróżny ze wsi, i tak dzień zeszedł, ledwo wieczorem można było pomówić ze swoimi braćmi. Po odmówieniu brewiarza i po wieczerzy odwiedzają nas redacy i po krótkiej rozmowie rozchodzą się na nocny spoczynek. My jeszcze rozmawiamy o naszych misyach, jak zwyczajnie w podobnych odwiedzinach. W mieście wszystko ucicha pogrążone we śnie, i my podobnież po modlitwie zabieramy się do spoczynku. Wtem około północnej godziny, ktoś stuka do naszych drzwi.

— Kto tam? zapytujemy raz i drugi, aż wreszcie daje się słyszyć przerażony głos jakiejś niewiasty.

— Dla Boga, księżyczku, niech otworzą! to ja N.

— Czego chcecie?

— Ale na Boga niech prędzej otworzą! powtórzyła drżącym głosem. Na rany Panienki Przeczystej, niech otworzą!

Zbliżamy się tedy wszyscy do drzwi i otwieramy. Przestraszona niewiasta prosi o spowiedź.

— Jakto o tej porze? Idźcie do domu, a jutro rano przyjdźcie do spowiedzi.

— Nie mogę, bo... bo... bo tam na kominie u N... siedzi ogromny dyabeł. Właśnie ztamtąd teraz wracam i wprost tu przybiegam.

— A co tam bać się dyabła, tem bardziej żeście go nie widzieli w swoim domu. Zresztą nie jest on jeszcze tak złym kiedy was zapędził do spowiedzi, to jakiś nowej mody dyabeł, czyście go widzieli dobrze jak wyglądał?

— Widziałam doskonale, cały był czarny, z rożkami, i przedrzeźniał się ze mnie.

— Ej! kobieto, weź święconej wody i idź spokojnie do domu, to jakiś błazen nie dyabeł, pewno teraz śmieje się z ciebie.

— Nie pójdę księżyczku, bo mnie gdzie zadusi, to wiem napewno, wolę tu pod progiem zginąć niż gdzie na drodze.

Próżne tłomaczenia dla biednej niespokojnej wyobraźni, musieliśmy w końcu zadość jej uczynić, poczem spokojnie odeszła.

Po odprawieniu trzydniowej misyi, na czwarty dzień z rana po nabożeństwie, jedziemy razem z p. Wincentym Barzyńskim do Bandery, 50 mil angielskich na północ od San Antonio. Droga do Bandery widokiem całej natury, bardziej urozmaicona od poprzedzającej. Weselej bawi podróżnych, chociaż jeszcze dziko i bezludnie, przyjemnie jednak tędy się jedzie.

Po drodze napotykamy gęste koło siebie źródła i strumyki, co w Texas rzadką jest rzeczą. Tu na tej drodze przygotowani jesteśmy do spotkania Indyan, po górach się kryjących i często napadających podróżnych. Zwyczajnie po tej drodze jeżdżą po kilka wozów, i my podobnież jedziemy w towarzystwie dwóch innych wozów. Od San Antonio do Bandery nie ma żadnej wioski, trzeba więc i w tej podróży nocować pod niebem między górami.

— A co tam bać się Indyan, odezwał się ksiądz Feliks Zwiazdowski, ileż razy po tej drodze przejeżdżałem sam jeden tylko uzbrojony 15 strzałowym kara-

(*) To drzewo rośnie tylko w Texas, dla tego nie wiem jak go nazwać po polsku. Wielkości naszej zwyczajnej wierzby, koloru szaro-czerwonego, twarde jak heban, liście cienkie a długie, przy nich wiszą strączki podobne do grochu, dwa razy tylko dłuższe, pożywne dla koni i bydła.

binem i przepędzałem noc samotnie między dzikiemi górami!

Raz wprawdzie napędzili mi strachu niemało. Noc była ciemna, pochmurna, i pewny byłem że nikt na mnie w kniejach w tak ciemnej porze nie napadnie. Ognia nie robiłem wcale, tylko przekąsiłem na sucho trochę słoniny i chleba. Zabierałem się już do spoczynku, wtem słyszę jak koń mój jeden parsknął i tak nagle rzucił się do ucieczki, że aż urwał się dębczak do którego był przywiązany; drugi zaś powtórzył to samo, ale uwiązany mocniej nie mógł się urwać, tylko od raptownego pociągnięcia obalił się na ziemię. Domyśliłem się zaraz, że już blisko są Indyanie, gdyż konie poczują ich naprzód i niechybnie. Po chwili słyszę z jednej strony jakiś szelest jesiennych liści; uważam że wśród trawy widocznie ktoś pełza, a za nim kilku jeden za drugim. Niewiele tedy myśląc, biorę do ręki 15 strzałowy karabin, i dla postrachu puszczam raz po raz kule w powietrze. Potem wyraźniej już usłyszałem jak wstali i uciekali pomiędzy góry, krzycząc jakimś dziwacznym językiem. Po półgodzinnem wytężeniu uwagi, nic więcej nie słysząc wstałem, znalazłem w oddali wystraszonego konia, zaprzągłem, i w nocy jechałem dalej trzymając ciągle karabin w ręku.

Jakaż tu cudowna okolica! Po bokach pną się góry, jedne wyżej, drugie niżej, jedne strojne drzewami, drugie skalistemi grzbietami, a inne zaroślem dzikich krzewin.

Po tych górach gęsto ściele się centurya, nad nią skromne polne lilije, zdobiące dziewicze ustronia dzikiej texaskiej krainy.

Dojechawszy do pięknego lasku, z jednej strony pod stopami gór, z drugiej mruczącym po kamieniach strumykiem, stajemy na noc. Księżyc przyświeca w pełni, tak żeśmy mogli przypatrzyć się doskonale naszej w około pozycyi. Jakże tu pięknie! doprawdy to Włochy, i tem więcej uroczej, że taka dzikość w niczem niewzruszona! W około głucho i cicho, jeden tylko strumyk coś mruczy, a tak chyżo bieży po kamieniach, jak gdyby spłoszony uciekał od wzroku ludzkiego. Nad nim olbrzymia skała, jakby tkliwa piastunka, chroni go od południowych upałów, on zaś jakby wdzięczny sierota myje pokornie jej stopy. Siadam na kamieniu przy tym ruczaju, i rozmyślam o życiu samotnem, o pustelnikach, w końcu zwracam myśli moje do anachoretów, do owej sławnej Tebaidy egipskiej, zkąd źródło naszej ascetycznej teologji. Oni musieli się kryć przed ludźmi, mieszkać w stronach dzikich, wśród skał i cierni, by nam pokazać jakim sposobem obfite w ciernie i kolce pole przychodzi do oczyszczenia i wydania czystego ziarna słowa Bożego. Ich praca około pozbycia się wad ludzkich a przyswojenia sobie cnót najszlachetniejszych, nauczyła duchownego zrozumienia rzeczy. Życie ich było podobnem do niektórych tu kwiatów, rozkwitniętych pięknie a wonnie, które tylko w czasie spokojnej nocy, gdy cała natura w uśpieniu, otwierają się, żyją i napawają rosą świeżości przyrody. O jakże one w nocy spokojne! Ani słońce pali, ani gad pełza, wszystko się gdzieś skryło przed niemi.

O wy starzy pustelnicy, żywe kościoły Ducha Św. Na puszczy wy jesteście mniej znani światu, niż wasze kamienne sąsiady, świątynie pogańskie: Luksora, Tebów i Baalbeku! O piramidach, po nad któremi oko wasze patrzyło w niebo, każde dziecko umie wiele powiedzieć, jak o jednym z cudów świata, a o was, którzy odnowionego przez odkupienie świata żywym cudem jesteście, nikt nie opowiada! O stojącym na granicy waszej puszczy słupie Memnona, który przy opromienieniu go wschodzącem słońcem bajeczne miał wydawać dźwięki, tysiące powieści i pieśni podają; a o was wszystko milczy głęboko! Wy bardziej w zapomnieniu u świata zakopani jesteście, niż hieroglify w piasku waszej ojczyzny, a jednak klucz który otwiera wzniosłe tajemnice waszego pustelniczego żywota, nie jest zagubiony. Jakże świat skarłowaciał! Nie chce nawet wierzyć, żeście kiedyś byli na świecie. Ale to zwykłe karłom; kiedy sam bronią olbrzyma władać nie może, utrzymuje, że nią nikt władać nie potrafi, i że olbrzymów wcale nie było i nie ma.

Tak rozmyślając nad brzegiem strumyka, z po za drzew we mgle błysnął księżyc, jakby chciał poświadczyć dzieje pustelników, na co sam kiedyś patrzył. Sięgnąłem po zegarek, już pół do 12, trzeba iść do naszego obozu i położyć się spać, jutro raniutko musimy jechać dalej.

Do snu wcale nie jestem przygotowany, święte i urocze uczucie owionęło serce moje, i na chwilę zrzuciłem z siebie ciężki kamień nędzy swojej a natomiast znalazłem wianek pełen zieloności balsamicznych. Spokojne a piękne hosanna rozlega się w sercu mojem i napełnia niewymowną słodyczą. Widzę tych pustelników, ich słodycz i zadowolenie na spokojnej twarzy, ich tryumf nad światem w aureoli zwycięzkiej. Na aureoli widzę białe perły, wśród których coś połyskiwało, coś jakby krople łez. Zbliżam się do podziwiania tego miejsca, i widzę że ta kropla łzy, jest to mały kwiateczek, który zrywam i niosę w sercu mojem. O biedni my ludzie, że tak ślepo gonimy za wszystkiem co wielkie, zmysłom powabne, i niby imponujące! Biedne serce rozdrobnione na tysiączne części życia zmysłowego! Porwane fatalną siłą przyrody, wirującej tylko około siebie, rozbija się o szkopuły własnej pychy, i tak nienasycone ginie w odmętach samolubnych widzimisia i zarozumiałości! Tymczasem ów kwiateczek nieznany a cenny, mały a życiodajny, w sercu każdego wyrastający musi więdnąć i ginąć na dnie tegoż zepsutego serca. On jeden tylko szczęściem naszem, bo o jedno nam starać się potrzeba!

Nazajutrz rano wyruszyliśmy dalej w drogę i około godziny 11 przed południem stanęliśmy w Banderze. Miasto powiatowe około dwa tysiące ludności, zbudowane na gruncie kamiennym, pomiędzy zarosłemi górami. Na południe i zachód płynie przezroczysta rzeka Medyna, na północ Julijanna. Powietrze zawsze świeże i chłodniejsze niż w Pannie Maryi. Paręset kroków od probostwa na dole tejże góry płynie kryształowa rzeka Medyna, wśród wspaniałych topoli, lip i orzechów texaskich, gdzie letnią porą znakomite mamy kąpiele.

Rodacy nasi mają swój kościół, i piękny murowany domek dla księdza. Zajmują się po większej części rolą, niektórzy wyrobem szendziołów (gątów), które wywożą na sprzedaż do San Antonio. Wśród gór w rozmaitych punktach, wytryskują źródła i tworzą małe strumyki, odwilżając doliny między krętemi górami. Tam nieraz spotkać można chłodzącego się pod cieniem niedźwiedzia, sarnę i inne zwierzęta. Wężów również napotyka się pełno.

Po skończonej trzydniowej misyi, wróciliśmy tą samą drogą do San Antonio. Z San Antonio do Panny Maryi musiałem sam wracać. Wyjechałem dość rano, w południe stanąłem na popas, rozpaliłem ogień; przy nim zrobiłem objad, poczem zaprzągłem konie i jechałem szczęśliwie dalej aż do nocy. W miarę ubywania światła dziennego, coraz więcej nikła odwaga moja, i strach przemawiał do wyobraźni. Osądziłem zatem najlepiej obrać sobie nocleg w gęstym lesie, aby nie być spostrzeżonym od nikogo. Przeto stanąłem w zaroślej dębinie nad ciemnym głębokim parowem. Konie przywiązałem, jak zwykle, na długich powrozach do dębów, zrobiłem ogień, przy nim wieczerzę i rozścieliwszy dekę (sukno) na trawie, z burnusa zrobiłem poduszkę i położyłem się spać. Ledwom zasnął, aż w tem we śnie obok mnie i nade mną jakieś dzikie świsty, wrzaski, krzyki, szczekania i t. p. Zrywam się nagle i myślę zaraz o obronie, krzyknąwszy po angielsku: „who is that?“ (Kto to?) aż wreszcie poznaję co to za hałas. Niestety! Źle m się obrachował, sądziłem, że w tem miejscu najspokojniejszy będę miał nocleg, tymczasem przeciwnie. Z rozmaitych stron pozlatywały się do tego ciemnego lasu ogromne sowy, sępy, puhacze, i taki wrzask, niby psie szczekanie zrobiły nade mną, że doprawdy, długo jeszcze po obudzeniu się, nie mogę poznać co to za bestye. Pierwszy raz podobne głosy słyszę, ze strachu tracę myśli, pozycyę gdzie jestem, co to za puszcza i jakim sposobem tu zabrnąłem! Przy takim wrzasku nad głową, naraz rozlega się po lesie strasznem echem wycie wilków. Zdało się, że ich tam tysiące, i to tuż niedaleko. Ot tobie historya, pomyślałem, teraz przypominam gdzie jestem! Nie ma czasu tchórzyć, widzę że idzie o życie. Czemprędzej biegnę do wozu, i ztamtąd jakby z cytadeli z rewolwerem w ręku, czekam dalszej katastrofy. Za mojem poruszeniem sowy jeszcze bardziej narobiły hałasu, wilcy też samo powtórzyły. Już chcę strzelać, ale się wstrzymuję, chowając naboje na czas ostateczny, zwłaszcza gdyby nadeszli zbójcy, których w Texas prawie wszędzie napotkać można. Chcę już wyleść na jaki dąb gęsty i tam skryć się w gałęziach od grożącego nieszczęścia, ale sępy tam łatwiej jeszcze mogłyby mi oczy wydziobać. Muszę siedzieć na miejscu i słuchać dalej tej muzyki. Bieda! trzeba radzić inaczej, rewolwer kładę a biorę do rąk różaniec i poczynam modlić się. Ale gdzie tam! ledwo zacznę „Ojcze nasz“, już mówię „Zdrowaś“ raz „święć się imię“ a wnet „módl się za nami“. Tymczasem sowy na chwilę ucichły, jedne odleciały a inne zostały; wtem słyszę jakiś szelest w pobliżu, patrzę w tę stronę; aż tu już blisko koło mnie mnóstwo plądruje wilków. Nie czekając dalszych z tego następstw, biorę rewolwer strzelam i ranię jednego. Znagła scena się odmienia; wszystkie strachy uciekają, tylko zraniony wilk począł wyć i skomlić żałośnie, ale i ten chociaż kulawy, pobiegł w głąb lasu za innymi. Siedziałem jeszcze na wozie z rewolwerem w ręku, kiedy w kilka minut z przeciwnej strony z lasu wybiega do mnie kilku rozwścieklonych wilków. W jednej chwili skoczyłem na kozioł, i przygotowałem się do walki. Jeden z nich śmielszej natury, skacze wprost do mnie i w tej chwili dostaje kulą w sam łeb, przewraca się i na miejscu wyziewa ducha; inni przerażeni nadzwyczajnym hukiem, i tak nagłem powaleniem swojego towarzysza, zatrzymują się koło niego i poczynają wyć w groźnej żałobie zemsty nad krwią brata swojego. Kiedym posłyszał w oddali tegoż lasu odpowiedź wilków również żałosnym tonem, nie wiele myśląc strzelam znowu i widać żem dobrze jednego z nich ugodził, bo zaledwo kilka kroków odbiegł za drugimi, padł trupem.

Resztę uciekło, i wkrótce wszystko ucicha, tylko słychać jak głuchem i przyduszonem echem charka wilk konający. Nakoniec i to ucicha.

Długo jednak potem z wozu nie złaziłem, siedziałem tak z rewolwerem w ręku aż do pierwszego dziennego brzasku, wtedy dopiero, gdy świtać poczęło, obejrzałem zabitych swoich nieprzyjaciół, jeden dostał w łeb, a drugi w szyję. Zaprzągłem konie i pojechałem dalej. W południe stanąłem w osadzie naszej Pannie Maryi.

(d. n.)

Myśli samotnika.

Samotność... Znikli ludzie, pustynią świat cały;
Przy mnie tylko dawniejsze moje ideały,
Tylko cichy, głęboki żal lepszej przeszłości,
Tylko młode pamiątki prastarej miłości
I jak echo dalekie niewygasłej cnoty,
Zapadłe w głębi duszy sumienia zgryzoty.

Samotność... Dla mnie cisza chociaż żyją ludzie,
Choć szumi gwarem życie w uciechach i trudzie,
Choć fala namiętności po zdarzeń kaskadzie
Pędzi w dzikich uniesień spienionym nieładzie,
A martwi samolubi, których słowa marne,
Wołają, że się zdadzą na czyny ofiarne.

Samotność... Nie chcę ludzi — przepaść między nami,
Ich myśli dla mnie błędem, ich chęci mrzonkami,
Ich czyny życia grzechem, co o każdej dobie,
Tak mi ciężą na piersi, jak kamień na grobie.

Samotność.... Lżej mi w duszy, moja myśl skrzydlata
W kilku silnych podrzutach po za świat ulata,
I w kształty nie odziana, nie objęta słowy
Od stóp krzyża dosięga do tronu Jehowy,
A wierna Jego wierze, kornie bijąc czołem,
Staje się w przemienieniu nadziei aniołem.

Samotność i nadzieja.... Jednak cierń skroń orze,
Samolubne uczucie zamilknąć nie może
I szepcze mi do ucha: gdzież dni twoich przędza?...
Patrz, swe chude ramiona już wyciąga nędza,
Patrz dalej, idzie za nią jej wierna siostrzyca,
Poznasz niemej rozpaczy zakrwawione lica,
I w ręku ciężkiej pracy topór nienawiści;
Gdzież wiara? gdzie nadzieja, która się uiści?...

Samotność... Bez przyjaciół, braci i rodziny,
Na pustyni żywota marny zlepek gliny,
Czyliż burzą miotany własnego istnienia
Mam roztajać w nicości, lub wziąść byt kamienia?
Czy rzuciwszy samotność i jej drogi wsteczne,
Popłynąć tam gdzie płyną te fale społeczne,
I na młyńskiem lat kole wśród szumu i piany,
Zatopić ideały i serdeczne rany?

Samotności odpowiedz!... Ha, cisza do koła,
Zamilkł nawet wewnętrzny głos mego anioła...
Samotność... cisza... próżnia... wieczność mię otacza —
Potępia świat żyjących — ale Bóg przebacza.

J. L.

Z DZIEDZINY NAUKOWEJ.

O rosole.

„Rosół jest to zbytek, który tylko zamożnym dozwolony."
Wirchow.

(Dokończenie).

Oprócz powyższych substancyi mamy jeszcze w mięsie materye wyciągowe i sole mineralne. Gruntowne wytłómaczenie istoty materyi wyciągowych odprowadziłoby nas za daleko od przedmiotu. Kilka słów uważam za konieczne. Wszystkie substancye pokarmowe które w pokarmach przyjmujemy nie bytują wiecznie w naszym ustroju, lecz się zeń wydostają, podlegając stopniowo rozmaitym zmianom pod wpływem krwi. Ostatnia działa na nie swym tlenem. Substancye białkowate składają się z węglowodoru, tlenu, azotu i siarki. Tlen ze krwi łączy się z węglem, tworząc kwas węglany, łączy z wodorem, tworząc wodę. Stopniowo więc substancye białkowate tracą węgiel, wodór i stają się mniej zdolnemi do utleniania się, czyli mniej zdolnemi do spraw chemicznych, które stanowią o ich wartości. Otóż jednym z ostatnich produktów utleniania się substancyi białkowatych są materye wyciągowe—ostatnie więc bardzo małą mają wartość dla organizmu naszego. Zkąd one w mięsie się biorą? Bardzo prostym sposobem. Mięso które używamy, należało do zwierzęcia, u którego substancye białkowate, znajdujące się, w mięśniach ich podlegały wpływowi utleniającemu krwi, więc też stopniowo powyższym zmianom ulegały. Te materye wyciągowe są rozpuszczalne w wodzie—i one do rosołu przechodząc nie robią mu wielkiego zaszczytu w obec pojęć o pożywności. Lecz nadają one smak rosołowi i to działanie jego jakie poniżej wyłuszczymy, zawdzięcza przeważnie materyom wyciągowym.

Co do soli mineralnych, te nie należą wprawdzie do substancyj pożywnych, ale bez nich obejść się nie możemy. Znajdują się one we wszystkich tkankach naszego ustroju, znajdować się więc powinny i w pokarmach. W dodatku te sole, które przechodzą z mięsa do rosołu, gdy zostaną wessane w przewodzie pokarmowym do krwi, wpływają razem z materyami wyciągowemi na jej przyspieszanie biegu. Doświadczenia wykazały że pulsa biją częściej o jakie 10—15 uderzeń na minutę. Takie przyspieszenie krążenia krwi u rekonwalescentów może być bardzo zbawiennem na ogólne odżywianie.

Jeszcze słowo o wpływie włoszczyzny na zawartość rosołu. Wszystkie te rośliny zawierają również białko, ale i ono do rosołu nie przechodzi, jako nie rozpuszczalne. Natomiast z nich przechodzi cukier i olejki eteryczne. Pierwszy jako w nieznacznej ilości niewielką wartość rosołowi nadać jest wstanie: drugie zapachu przyjemnego są przyczyną.

Tak więc rozebraliśmy znaczenie każdej ze składowych części rosołu. *Rosół więc wcale nie jest pożywnym*; jeżeli chcemy odżywić ustrój nasz musimy mu dać mięsa, mleka, jaj, jednem słowem pokarmów, zawierających substancye białkowate. *Ale rosół przyśpiesza krążenie krwi*, a tem samem wpływa na podniesienie życia w zwątlałym ustroju. *Rosół jako lekka strawa jest znakomitym dla rekonwalescentów i ludzi słabych*, nie daje zasypiać przewodowi pokarmowemu, i *na mocy tych własności jest przyprawą stojącą jeżeli nie na równi to wyżej niż kawa, herbata* i *napoje alkoholowe*, a jednak pomimo swej wielkiej strawności może być w pewnych warunkach szkodliwym. Bywały zaobserwowane wypadki, gdzie nadmiar rosołu niezmiernie zaszkodził rekonwalescentom a szczególniej młodym osobom. Powszechne panuje przekonanie, że im bardziej człowiek osłabiony, tem silniejszego i gęstszego rosołu mu dostarczyć trzeba. Jest to bardzo mylny i szkodliwy pogląd. Im ze słabszą i im z młodszą istotą mamy do czynienia, tem doza rosołu i tęgość jego winny być mniejsze. Jeżeli tej rady, wynikającej z naukowych obserwacyj, szanowne panie do serca nie przyjmiecie, ze smutkiem spostrzeżecie po niewczasie że poddany waszej pieczy pacyent, zamiast się poprawić po rosole dostanie bicia serca, biegunki i innych dolegliwości, których tylko zbyt silnemu rosołowi przypisać można. Tak samo zupełnie dzieje się z innemi przyprawami. Jakkolwiek kawa, herbata i wino są zbawienne, nadmiar ich często jest bardzo szkodliwym. Ten od zbyt mocnej kawy dostaje bicia serca, owego kilka mocnych szklanek herbaty o bezsenną noc przyprawiają. Oto jest ujemna strona rosołu, która przez rozsądne podawanie takowego może być usunięta. Lecz ta o której teraz chcę mówić, jest nie do usunięcia dopóty, dopóki będziemy chcieli nadwerężać kieszeń naszą dla zadość uczynienia zachciankom języka naszego. Gdy panie idą na miasto w celu zakupienia prowiantów na obiad, chcecie zapewne swoim domownikom zakupić pokarm, któryby im sił dodał. Kupujecie mięso. I słusznie. Chcecie jeszcze połączyć cel powyższy z zadowoleniem wewnętrznem, że to co dajecie na stół jest smaczne. I to słuszne. Gotujecie więc smaczny rosół, a pozostałe mięso zalewacie jakimkolwiek sosem i dajecie jako drugą potrawę często również smaczną. Jakiego marnotrawstwa się dopuszczamy tak robiąc zaraz objaśnię. Powszechne panuje przekonanie, że gotując mięso pozbawia się go wprawdzie bardzo wielu pożywnych substancyj, ale one za to są w rosole. Dla tego też w wielu domach zamożniejszych sztukę mięsa zostawia się dla służby w przekonaniu, że dla siebie zabrano z rosołem co najpożywniejsze. Że to przekonanie jest mylne to już powyżej wyjaśniłem, bo substancye białkowate do rosołu nie przechodzą. Mięso więc swych substancyj pożywnych nie zostało pozbawione, przygotowano tylko strawę bardzo smaczną, która do żołądka się dostawszy pobudza krążenie i sprawia obfitszy przypływ soków odżywczych. Ale te ostatnie czekają na coś pożywnego, bo w rosole go nie mają, czekają na substancye białkowate, aby je zmienić w ten sposób, by zdolne były do dostania się do krwi. Otrzymuje wtedy żołądek sztukę mięsa a my zjadamy ją z tem przekonaniem, że jeżeli te substancye białkowate do rosołu nie przeszły, więc są w mięsie. Są rzeczywiście, ale jak zmienione! Te biedne soki odżywcze muszą się bardzo długo, a często bezskutecznie męczyć, aby z tych zeschłych włókienek mięsnych coś zrobić pożytecznego. Mówiłem już że klej który spaja włókna mięsne, rozpuszcza się w wodzie, a obnażone włókna podlegają teraz bezpośredniemu wpływowi gorącej wody. Znajdujące się więc w nich substancye białkowate krzepną pod wpływem wysokiej temperatury i stają się przez to bardzo niestrawnemi. Tak więc owe wołowe mięso tak pożywne, stało się niestrawnem i w gruncie rzeczy nieużytecznem. Podwójna zatem strata: mięso zepsute, a rosół niepożywny. Czy to nie marnotrawstwo.

Jeżeli objad ma się składać tylko z rosołu i sztuki mięsa, to podobnego rodzaju odkarmianie jest grzechem nie do przebaczenia. Zapewne, że jeżeli po sztuce mięsa ma nastąpić pieczyste, a przytem ryba, a potem jarzyna, przytem wino lub porter, to poprzedzenie tego wszystkiego smacznym, pobudzającym rosołem nie tylko uprzyjemnić ale i ułatwić strawienie obiadu może.

Przypomnijmy sobie jeszcze jak ów rosół zostaje przygotowany, gdyż pragnę objaśnić teoretycznie to do czego praktyka nas doprowadziła. Zdziwią się więc szanowne gospodynie, i to bardzo gdy powiem, że owe szumowiny, tak starannie zdejmowane, są to właściwie najpożywniejsze części z mięsa do rosołu przechodzące, gdyż są substancyami białkowatemi. Więc może panie *doktorze*, chcesz abyśmy rosół z temi szumowinami jadły? Broń Boże! i to z dwojakich względów, a nawet z trojakich: ze względu na estetyczność, na smak i na pożywność. Gdyby nawet owe szumowiny były strawnemi, nie mógłbym radzić aby je zatrzymać w tym wonnym, przezroczym i smacznym rosole, boć i zeszpeciłyby go i smak zepsuły. Nic dziwnego że przemawiam za estetycznością w jedzeniu, ze stanowiska naukowego mam prawo takowej wymagać, bo co nieestetyczne, to nie przyjemne, a co nieprzyjemne źle się trawi. Dalej przy zachowaniu szumowin smak rosołu by się zepsuł, a w odżywianiu się naszem zawsze wzgląd mieć winniśmy na język, który sobie przeważny głos wyrobił w tej kwestyi, głos który mu się słusznie należy. Ale są to pomniejsze kwestye w obec faktu, że szumowiny te lubo są substancyami białkowatemi

na nic się nie zdadzą, bo jako w skrzepłej postaci są tem samem bardzo niestrawne. Słusznie więc bardzo że rosół szumuje się starannie i zdejmuje z niego pływającą po wierzchu pozłotę, czyli tłuszcz równie niepożywną.

Dla czego lepiej brać miękką wodę, a nie twardą? Otóż z tej samej przyczyny dla której groch zastawiamy miękką a nie twardą. Twarda woda zawiera wiele soli, węglan wapna, chlorek sodu, siarczan sody, siarczan wapna. Z tych siarczan wapna bardzo łatwo łączy się z substancyami białkowatemi zarówno mięsa jak grochu i tworzy trudno rozpuszczalną i twardą masę. Mięso by się więc stało twardem, nieużytecznem i żadne substancye by do rosołu nie przeszły.

Dla czego mięso trzeba kłaść do zimnej wody a potem stopniowo zagotowywać? Substancye białkowate mają własność krzepnienia w wysokiej temperaturze, mięso pogrążone w gorącej wodzie pokryłoby się warstwą skrzepłego, nierozpuszczalnego białka, któryby nic więcej z mięsa do rosołu nie wypuścił. Dla tego to na pieczeń lub befsztyk parzy się mięso poprzednio, ażeby wszystkie substancye znajdujące się w niem przy dalszem ogrzewaniu nie wyszły. Jeszcze słów kilka co do czasu jaki potrzebny na ugotowanie rosołu.

Widzieliśmy wyżej że najgłówniejszą, nie mówię najważniejszą, składową częścią rosołu jest klej. Im twardsze mięso czyli im mniej zawiera kleju, tem trudniej się rozpada przy rozpuszczaniu się takowego. Im miększe mięso, czyli im więcej zawiera kleju, tem łatwiej i szybciej się oddzielają jego włókna przy rozpuszczaniu się kleju, który je łączy. Mięso zatem wołowe wymaga 3 — 4 godzin, z kury lub kaczki starej dwie lub trzy godziny, z cielęciny $1\frac{1}{2}$ — 2 godzin, a z kurcząt godzinę najwyżej, gdyż w tych jako posiadających najwięcej kleju, przy dłuższem gotowaniu włókna pozbawione tej naturalnej spójni, mogłyby się zupełnie porozpadać. Rosół też z kurcząt bywa, jak powiadają, posilniejszy, i im dłużej się rosół gotuje, tem gęstszy, bo więcej się kleju w nim rozpuszcza. Tyle o sposobie przygotowywania rosołu, a o różnych zaś gatunkach rosołu, ekstrakcie Liebiga, zupie Rumfordzkiej pozostawiam przyszłej pogawędce.

J. N.

Życie prowincyonalne w Grecyi.

Od niejakiego czasu Wschód magnetycznym urokiem pociąga ku sobie podróżników; kto poznał już Włochy zwraca swe kroki ku Turcyi, Syryi a szczególniej Grecyi, z gorącą żądzą zwiedzenia tych tajemniczych krain, uważanych niegdyś za kolebkę świata, tych starożytnych wybrzeży uświęconych wspomnieniem tylu wielkich, już zaginionych ludów. Koleje żelazne i statki parowe ułatwiają dziś niesłychanie podróż, największa odległość nie przeraża już wędrowców; z łatwością można zwiedzić i poznać krainy Wschodu, ale jakże to trudno poznać ich mieszkańców, umiejących tak dobrze się ukrywać i zmylać baczność dostrzegaczy. Po krótkim wśród nich pobycie każdy poznaje że są leniwi, ociężali i zniewieściali, ale cechy te nie stanowią jeszcze całości ich charakteru, nie dają poznać starannie ukrywanego życia prywatnego. Stopniowo tylko można poznawać ich zwyczaje, wtajemniczyć się i zrozumieć myśli i kierujące nimi pobudki, badać uważnie najdrobniejsze szczegóły ich życia. Tego niepodobna dokonać w stolicy i większych miastach, gdzie ciągłe zetknięcie się z cudzoziemcami znacznie zmieniło ich obyczaje i zwyczaje; — tylko na prowincyi przechowały się one niewzruszenie i zatrzymały swe odrębne, charakterystyczne cechy. Oto jak opisuje postać, ubiór, obyczaje, charakter i instytucye Greków p. Paweł d'Estournelles, który w tym celu spędził dziesięć miesięcy w miasteczku Aigion czyli Vostizza.

Miasteczko to leży na północnem wybrzeżu Peloponezu, między Patras i Koryntem, nad brzegiem zatoki Lepantu. Mało które z miast greckich przechowało tak dobrze swą odrębną, starożytną cechę, za którą tak ubiegają się podróżnicy. Od południa zamykają horyzont wysokie góry o które Aigion zdaje się opierać; na prawo i na lewo roztaczają się urwiste skały nadbrzeżne, obniżające się ku równinie na której zielenią się mirty, drzewa oliwne i winna latorośl. Port jest mały ale spokojny i głęboki; zawsze stoi w nim kilka statków rybackich, czajek transportowych tureckich i kilkanaście mniejszych łodzi. W pobliżu na prawo wznosi się kilka jednakowych nowo zbudowanych składów, urządzonych dla wygody bogatych właścicieli okolicznych; na lewo, w załomie skały, stoi kilka chatek, kryjących się w cieniu wielkiego jaworu, wsławionego podczas wojny o niepodległość grecką. W wypróchniałym pniu tego drzewa Grecy zamykali swych więźniów podczas powstania z 1821 r. Dodano drzwi mocno przytwierdzone i przez pewien czas jawor ten stanowił najpewniejsze więzienie, w którem można było pomieścić bezpiecznie dziesięciu ludzi. Tylko dwa razy na tydzień, gdy przypływające statki wysadzają pasażerów na ląd, rozlega się w porcie gwar, ruch, krzyki i wołania, w inne dnie panuje najzupełniejsza cisza przerywana tylko monotonnym śpiewem rybaków.

Podróżny przybywający do Aigion, powinien z góry wyrzec się wszelkich wygód i komfortu. Ponieważ, jak w ogóle w Grecyi, zimno rzadko kiedy uczuć się tu daje, przeto w domach nie ma pieców ani kominków, w razie dni chłodniejszych stawiają w pokojach fajerki. Kuchnia w ogóle bardzo niesmaczna, cudzoziemiec z trudnością może się do niej przyzwyczaić. Obiady codzienne z jednych składają się potraw. Zupa z ryb i pomidorów, to jest rosół z ryb przyprawiają pomidorami, cytrynami i oliwą; następnie ryby gotowane; baranina ugotowana i osmażona; ryż z oliwą, z pomidorami i z cytryną; sałata z ugotowanych jarzyn zwana lakhana i na deser jakiś kredowaty i twardy ser z koziego mleka, zdala uderzający nieprzyjemną wonią. Post zachowują bardzo ściśle, a dni takich wypada w roku przeszło 150; wtedy jedzą tylko oliwki i *lakhanę*, — heretycy czyli cudzoziemcy, podczas wielkiego postu, mogą dostać kawioru, ale o mięsie nawet marzyć nie wolno. Łóżka także nie zalecają się wygodą. Nie znają tu wcale materacy włosianych, i tylko na żelaznych prętach kładą materace wypchane niegremplowaną wełną. Dla ochrony od much i owadów łóżka u nich osłonięte są dokoła firankami muślinowemi.

W Atenach coraz rzadziej można spotkać ubiory narodowe, lecz w małych miasteczkach większość mieszkańców przechowuje wiernie stare tradycye. Wyszedłszy w niedzielę na ulicę Aigionu, można napatrzyć się Grekom przybranym w świetny narodowy ubiór. Strój ten odznacza się rozmaitością i zbytkiem, i często stanowi jedyne bogactwo swego właściciela. Najbogatsi i najubożsi noszą fustanelle, rodzaj spódnicy białej bawełnianej, nadzwyczaj fałdzistej, obciśniętej pasem, pas bywa zawsze jedwabny, szerszy i dłuższy lub węższy i krótszy, stosownie do zamożności; u bogatych suto zahaftowany złotem. Kaftany noszą z czarnego aksamitu lub z jedwabnych materyi, haftowane sutaszem w najróżnorodniejsze wzory. Na wierzch wkładają krótkie kamizelki z zaokrąglonemi rogami, zapinane na podwójny guzik, a do wielkiego stroju otwarte, tak że szyja jest odsłonięta. Jest to najkosztowniejsza część ubioru; przód i plecy są całkiem pokryte haftem jedwabnym, srebrnym i złotym. Niektórzy bogaci Grecy każą całe kamizelki zaszywać szczerozłotemi galonami i takąż pasmanteryą; kostium taki kosztuje 2000 drachm (około 450 rs.) Od kaftanów spadają długie i szerokie także zahaftowane, otwarte rękawy, odsłaniające białe jedwabne rękawy od koszuli. Na nogach safijanowe ciżemki, na które spadają kamasze przytwierdzone nieco po za kolanem, z tejże samej materyi co kamizelka i równie bogato zahaftowane; przytrzymujące je podwiązki są prawie zawsze arcydziełem pracy haftarek. Spodnie krótkie, sięgające do kamaszy, z białej jedwabnej materyi. Miejsce kapeluszy zastępuje fez, jednakowy dla biednych i bogatych i różniący się tylko kwastem; kwast ten bywa zazwyczaj jedwabny czarny lub niebieski, u bogatych złoty, niekiedy przypięty brylantową agrafką.

Wieśniacy noszą ubiór odmienny ale równie oryginalny. Kaftan, kamizelka i kamasze zrobione są z białej flaneli, haftowane czerwonym i niebieskim jedwabiem; zamiast lakierowanych ciżemek noszą tak zwane *tezaruchia* czyli trzewiki safianowe z nosami śpiczastemi, zakrzywionemi do góry, stębnowane żółtym, czerwonym lub niebieskim jedwabiem, i przyozdobione kwaśnicami jedwabnemi, tego koloru co stębnowanie. W pasie przepasują się pasem *shilaki* safianowym bardzo szerokim z przodu, w którym urządzone jest kilka kieszonek, za które zakładają sztylety, pistolety i wszelką broń jaką kto posiada, potrzebne do niej amunicye, fajkę i tytuń. Rękawy od koszuli i kaftana są otwarte, ręce obnażone do ramion; zamiast feza obwiązują często głowy chustkami jedwabnemi. W zimie noszą krótkie płaszcze z grubego wełnianego z długim włosem materyału, wyszywane bez gustu kolorową pasmanteryą.

W miastach mała tylko liczba kobiet zachowała strój narodowy; zarzucono go dla mód paryzkich — i nie dziw bo bardzo brzydki. Jednak w Aigion można go jeszcze spotkać. Składa się z jasnej jedwabnej spódnicy długiej i szerokiej, z kamizelki podobnym krojem jak męzkie, i z fezu. Wszystko to razem niezgrabne i nieładne. Jednak w niektórych okolicach, a szczególniej w wiosce Delfos, u stóp góry Parnas, przechowały się charakterystyczne starożytne ubiory. Są one jeszcze bogatsze niż męzkie, stanowią skarb rodzinny i przekazywane bywają z pokolenia w pokolenie. Młode czarnookie dziewczęta przywdziewają je w dnie uroczyste. Do ślubu noszą one bardzo długie białe jakby koszule, obciśnięte pasem spiętym srebrną klamrą; z pod pasa spada aż do kostek długi jasno-wzorzysty fartuch; na ramiona zarzucają długi płaszcz bez rękawów, prosty, otwarty z pod którego dobrze widać cały przód ubrania. Koszula zapięta jest na spinki z drogiemi kamieniami lub złote cizelowane. Na szyi zawieszają naszyjniki z medalijonów antyków, takież medalijony spadają na czoło i przystrajają głowę; welon długi ozdobiony jest przepysznym haftem.

Mówią wiele o piękności Greków i Greczynek i rzeczywiście mężczyzni są bardzo piękni; znać w nich potomków tych co służyli za model Praxytelesowi i Fidiaszowi. Mają wielkie, ogniste, czarne jak aksamit oczy, długie jedwabniste rzęsy, które przyćmiewając nieco blask oczu, nadają im wyraz smętny i rozmarzony; zęby białe i drobne, profil piękny i regularny, cerę matowo-białą, zbudowani są pięknie, postawa i ruchy są zarazem eleganckie i dumne. Umieją chodzić i każdy największy prostacek ubrany w swój świetny strój narodowy, przedstawia doskonały typ piękności. Kobiety pod wzglę-

dem urody, bynajmniej nie dorównywają mężczyznom. Mają piękne oczy, włosy i piękne zęby, ale w ogóle nie bywają dobrze zbudowane, a w twarzy znajdzie się zawsze jakieś *ale* psujące ogólną harmoniję, już to nos płaski, już usta źle zarysowane: jeźli znów profil jest poprawny, nos prosty, to znów zęby szkaradne. W ogóle brak jem tego powabu i wdzięku, bez którego najdoskonalsza nawet piękność żadnego nie wywiera uroku.

Obyczaje i charaktery kobiet greckich w ogóle mało są znane; podróżnicy nie dość zwracali na nie uwagi, a jednak one tylko przechowują starożytne zwyczaje ludów Wschodnich; pod względem moralnym nic nie posuwają się naprzód i są dziś prawie takie same jak były przed pięćdziesiąt laty, kiedy przeciwnie mężczyzni coraz więcej zbliżają się do cywilizacyi tegoczesnej.

W całej prawie Grecyi, z wyjątkiem Aten, gdzie prąd pojęć francuzkich wielkie już wywołał zmiany, kobiety nie mają samoistnego bytu i stanowiska w społeczeństwie; mężczyźni rozebrali wszystkie role, przywłaszczyli sobie wszelkie przywileje, począwszy od bezwzględnej niezależności aż do ukształcenia jakie posiadają, pozostawiając jedynie kobietom zajęcia i kłopoty domowe. Po wsiach kobiety zajmują się gospodarstwem, domem, kuchnią, dziećmi, i niemyślcie, że ukończywszy te zajęcia mogą sobie odpocząć spokojnie. Idą na pole pomagać mężom, i czy to broną czy rydlem, w godzinę zrobią tyle co tamci przez dzień cały. Za powrotem z pola mężczyzni zasiadają z fajkami koło ogniska, a żona karmi najmłodsze dziecię, przyrządza posiłek, bierze dzbanek stawia go na ramieniu i idzie do studni lub do źródła, często bardzo daleko, przynieść świeżej wody.

W miastach dola kobiet jest znośniejszą, do podobnych posług mają służbę, ale i tu próżnować nie mogą. W ogóle w rodzinach dosyć jest dziatwy, same koło nich zajęcia wiele zajmują czasu; służba jest liczna ale niezdatna i nie zbyt pracowita. Gospodyni musi codziennie wyznaczyć każdemu robotę, uczyć jak ją ma wykonać, powtarzać sto razy jedno, krzyczyć, łajać a czasem i uderzyć; wieczorem gdy dzieci pójdą na spoczynek, szyje, sporządza, przędzie lub robi coś na drutach, jeźli zaś w ciągu dnia ma parę godzin wolnego czasu, przędzie jedwab' lub też dogląda jedwabników albo prania. W dnie tak spędzane nie ma czasu nie tylko na przyjemności ale nawet na zajęcie się wychowaniem dzieci, to też matki ani myślą o tem. Dzieci pozostawione samym sobie najzupełniejszą cieszą się swobodą, biegają po pokojach, po schodach, po dziedzińcach. Najmłodsze chodzą jak je Bóg stworzył, tarzają się po ogrodzie, po piasku, po kamieniach, nawet w płytkiej wodzie, rozkoszują się słońcem i najzupełniej obywają się bez pasków i piastunek. Gdy dojdą lat sześciu lub siedmiu, zostają posyłane do szkoły, i spędzane w niej godziny stanowią niejakie chwile wytchnienia dla matek.

Patrząc na ich twarze zdaje się czytać w nich wyraz smutku i poddania się, powłóczyste wejrzenie zdaje się gonić za wymarzonym ideałem który opłakują, ale jest to złudzenie rozwiewające się za pierwszem ich odezwaniem i prędko można się przekonać że wpływ nawyknienia stłumił w ich sercach wszelkie pragnienia i uczucia kobiece. Młodość ich mija prędko i ani jednej łezki nie uronią za nią; świeżość i powab więdnie w przeciągu lat kilku, i nie żałują przeszłości która im żadnych miłych nie pozostawiła wspomnień.

Co do dziewcząt, jedynym ich celem, jedynym ideałem jest zamążpójście. Wiedzą dobrze jaki los je czeka; mają nieustannie przed oczami przykład matek, a mimo to goręcej niż kiedykolwiek pragną opuścić rodzinę i dom rodzicielski, do którego, co prawda, nie przywięzuje ich ani uczucie, ani dobrobyt ani nic zakrawającego na szczęście; goniąc za czemś nieznanem, wyobrażają sobie że wpłynie to na zmianę smutnego ich położenia. To też w całej Grecyi prawie nie ma starych panien. Po ślubie prędko bardzo następuje rozczarowanie, ale z drugiej strony praca, kłopoty, trudy, zajęcia gospodarskie i smutna rzeczywistość tak wszystkie ich pochłaniają chwile, że nawet w najskrytszych zakątkach duszy nie pozostaje miejsca na marzenia i żale. Wtedy wstępują w ślady matek, nie myśląc o sobie żyją dla innych, dla męża, dla dzieci, dla powiększenia dobrobytu i zamożności domu, i tak dochodzą do kresu wcale niepoetycznego ale nieskalanego życia.

W Grecyi ze wszystkich kobiet, same tylko babki cieszą się spokojem i wypoczynkiem; czy przebywają w domu zięcia czy syna i synowej, niczem zupełnie się nie zajmują. Czas im schodzi na przesuwaniu ziarnek woniejącego różańca *komboloi*, jedzą, bawią się z wnukami które strofują lub pieszczą. Dzieci i wnuki nie nadskakują jem zbytecznie, ani zbyt wielką nie otaczają miłością, gdyż przyjmując je w dom spełniają raczej obowiązek niż dogadzają potrzebie serca, zawsze jednak mogą wypocząć po trudach i pracach całego życia.

(d. c. n.)

Korespondencya ze Lwowa.

Muzeum przemysłowe, nad którem Warszawa jak mi się zdaje dopiero pracuje, istnieje we Lwowie już od kilku lat i wzrasta tak szczęśliwie, że dziś stanowi nietylko jednę z osobliwości godnych zwiedzenia przy najkrótszym nawet pobycie w stolicy galicyjskiej, lecz nawet zjednało sobie rozgłos za granicą kraju i wymieniane bywa nawet w pismach niemieckich jako instytucya mogąca służyć za wzór innym tego rodzaju. Że Muzeum Przemysłowe we Lwowie ma wielkie znaczenie i słusznie zajmować musi pierwszorzędne stanowisko między wszystkiemi zakładami publicznemi, to jest faktem niepotrzebującym ani dowodu ani tłomaczenia, bo Galicya znaną jest ze swojego zacofania w gałęzi przemysłu. Gdyby zresztą potrzeba było na to jednego a przekonywającego argumentu, moglibyśmy się zasłonić samą historyą powstania tego zakładu. Galicya nie wyłączając nawet pełnego pretensyi Lwowa, jest bardzo ciężką do inicyatywy i często lata całe znosi brak dający się łatwo i bez zachodów usunąć. Snać potrzeba Muzeum Przemysłowego była niezwykle wielką, pożyteczność takiej instytucyi za nadto uderzała w oczy, skoro inicyatywa kilku prawych a praktycznie myślących obywateli miejskich, wystarczyła na stworzenie całkiem nowego i jedynego w swoim rodzaju zakładu, co więcej skoro inicyatywa ta znalazła rzadkie uznanie i pobudziła do ofiarności nawet osoby, z których nazwiskami dotąd rzadko spotykaliśmy się w przedsięwzięciach publicznych tego rodzaju. Dzięki tej ofiarności, Muzeum Przemysłowe posiada już dziś ciekawe zbiory a jeżeli wzrost ich trwać będzie dłużej w takim stosunku jak dotąd, nowa instytucya będzie ozdobą Lwowa i kraju, jednym z najtrwalszych i najwięcej obiecujących pomników publicznej ofiarności i poczucia obowiązków obywatelskich. Rok bieżący stanowić będzie ważny okres w rozwoju młodej instytucyi, bo powstanie przy niej kosztem rządu pierwsza w kraju naszym szkoła rysunków i modelowania. Połączenie tej szkoły z Muzeum przemysłowem było wskazane pokrewieństwem celów i wspólnością środków obu zakładów. Zarząd Muzeum pragnąc przyspieszyć założenie tak pożądanej szkoły ofiarował rządowi potrzebne sale z całem urządzeniem, opał, światło a nawet i usługę bezpłatną. Nie mówimy już o korzystaniu ze zbiorów muzealnych, bo to ustępstwo nic nie kosztuje i pozwala Muzeum zbliżyć się prędzej do wytkniętego mu celu. Wspomniona szkoła ma najpierw kształcić rękodzielników i przemysłowców a powtóre dać uczniom szkół średnich, wydziału filozoficznego przy uniwersytecie i politechniki sposobność do wydoskonalenia się w nauce rysunków. Ażeby umożliwić jak najliczniejsze gromadzenie się uczniów, postanowiono, że wykłady odbywać się będą głównie w godzinach wieczornych a w niedziele także i w godzinach porannych. W dniach powszednich uczniowie będą mieli otwarty wstęp do sal i mogą tam swobodnie pracować. Na razie posiadać będzie szkoła tylko dwóch nauczycieli dla nauki rysunków i modelowania. Niezawodnie wkrótce ustanowiony będzie nauczyciel dla rzeźbiarstwa, a jeden z nauczycieli wykładać będzie naukę o cieniowaniu i o perspektywie. Do założenia tej nowej szkoły przyczynił się niemało niezmordowany w pracy dla dobra publicznego Włodzimierz hr. Dzieduszycki, do niedawna marszałek krajowy, którym przestał być na własne przez cesarza bardzo łaskawie uwzględnione życzenie. Z posady tej ustąpił hr. Dzieduszycki dla tego, że w dotychczasowym szczuplejszym zakresie swojej nieocenionej działalności obywatelskiej, spodziewa się być użyteczniejszym i wydatniejszym aniżeli na pierwszym w kraju urzędzie autonomicznym.

Hr. Włodzimierz Dzieduszycki składając laskę marszałkowską Galicyi poszedł za głosem przesadnej skromności swojej i tej na każdym kroku z ujmującą wprawdzie ale bezpodstawną otwartością wypowiadanej obawie, że jako nowicyusz w zawodzie administracyjnym nie podoła trudnym zadaniom wysokiego stanowiska. Skromność ta u męża, którego zasługi około kraju już dziś nazwać można pomnikowemi, w dziwnej zostaje sprzeczności z tą powszechną u nas pochopnością do wysuwania się na pierwszy plan, do lekceważenia obowiązków obywatelskich i przeceniania sił własnych. Ale mimo to wszystko, mimo tak niepospolitego motywu, rezygnacyą hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego nie można nazwać ani dobrym przykładem ani nawet wypadkiem, niemogącym pociągnąć za sobą zgubnych dla społeczeństwa skutków. Jeżeli ludzie powołani do przodowania usuwają się z widowni, to łatwo stać się może, że zawód publiczny straci resztę uroku dla innych podobnych obywateli kraju, a wtedy dla mierności, dla pospolitych krzykaczy otworzy się bardzo szerokie pole popisu. W ostatnich latach zaszło w życiu naszem publicznem już kilka takich ubolewania godnych wypadków, że ludzie powołani do wybitniejszej roli usuwali się dobrowolnie nie tyle w skutek pospolitego zniechęcenia się, lecz raczej pod naciskiem tej żyłki do apatyi, która w zdrowym i bardzo elastycznym charakterze słowiańskim tkwi tak silnie, że w najkorzystniejszych warunkach staje się powodem zacofania nawet w porównaniu z innemi narodami, mniej wyposażonymi. O tym niemiłym objawie społecznym wspominamy najpierw dla tego, że grozi on zastojem naszemu samorządowi, który w gotowości do obywatelskich usług i w chętnym udziale ogółu czerpać musi warunki żywotności i rozwoju, a powtóre dla tego, że właśnie w tej chwili Galicya przygotowuje się do powszechnych wyborów sejmowych, które odbędą się w jesieni i do głębi poruszą wszystkie umysły. Na razie agitacya nie nurtuje jeszcze tak silnie, ale kto zna nasze społeczeństwo, kto wie na ile stronnictw, frakcyi i odłamków ono się rozpada, ten pewnie nie łudzi się ciszą, która zawsze poprzedza burzę. Tu właśnie najfatalniej odbić się może owo zniechęcenie się ludzi zdol-

nych i wytrawnych do zawodu publicznego. Już dziś musimy się rumienić w obec faktu, że w ciele ustawodawczem reprezentującem kraj sześciomilijonowy, braknie nieraz kilku mężów potrzebnych do wytworzenia jakiegoś specyalnego wydziału dla pewnego przedmiotu, że nie ma nieraz tak bystrej głowy, ażeby zapobiegła chaosowi łatwemu do usunięcia a często marnującemu kilka drogich posiedzeń: że wreszcie zasiada tam kilkunastu reprezentantów nieznających sztuki pisania a kilkunastu takich, którzy biegłość swoją w tej mierze posunęli zaledwie do mechanicznego podpisania nazwiska w sposób przypominający hieroglify. Jaka to będzie strata, jeżeliby w skutek nieusprawiedliwionego zniechęcania się ludzi zdolnych i wytrawnych ubyła temu ciału część dotychczasowej inteligencyi, jeżeliby próżność zastępująca znajomość rzeczy banalnemi frazesami, a szczere zamiłowanie do pracy pożytecznej jałowem szamotaniem się i efektownem występowaniem na pierwszy plan przy każdej sposobności, jeżeliby powtarzamy próżność taka miała znaleść miejsca opróżnione dobrowolnie albo nawet mówiąc otwarcie lekkomyślnie? Rada miejska stolicy galicyjskiej zaczyna już uczuwać zgubne skutki tej apatyi. Gdy miasto nasze wybierało pierwszą reprezentacyę na podstawie nowego, bardzo wiele obiecującego statutu, padło i odniosło świetne zwycięztwo hasło, że zarząd miejski musi być wyrwany z dawnych rąk nieudolnych, z pod opieki ludzi, którzy mieniąc się mieszczanami *par excellence*, tworzą niejako kastę społeczną opartą na tytule kamienicznym lub sklepowym, widzieli w inteligencyi żywioł napływowy, bardzo niebezpieczny i niegodny do załatwiania spraw miejskich. W skład nowej rady miejskiej weszło wielu adwokatów, profesorów i innych ludzi inteligentnych. Zdawało się z początku, że ten nowy żywioł nietylko nada ton nowej reprezentacyi gminnej, lecz nadto owładnie ster siłą konieczności, jaka spoczywać musi w przewadze inteligencyi przy załatwianiu różnorodnych spraw publicznych. Nie długo jednak czekano na zawód, wprawdzie nie zupełny ale zawsze wcale dotkliwy. Zastęp inteligencyi zeszczuplał znacznie z biegiem czasu jedynie w skutek zniechęcenia się do skromnej ale niezmiernie ważnej i w namacalne skutki obfitującej pracy. Stara gwardya mieszczańska, która w napływie adwokatów, profesorów i dziennikarzy do rady miejskiej widziała zagładę miasta, komunę paryzką a może nawet bliski koniec świata, mogła powoli tryumfować i utrzymywać dalej, że tylko ten jest powołany być ojcem miasta, kto posiada w nim jakąś realność, kto do niego przywiązany jest nie idealną miłością obywatelską lecz tabularnym węzłem. Gdy obecnie uzupełniano radę miejską wyborem dwudziestu kilku członków, partya ta wystąpiła jawnie z temi zasadami i narobiła wiele uwag ale w końcu upadła ze swoimi kandydatami, mimo bardzo słabego udziału wyborców. Na wszelki wypadek już to jest niebezpiecznem, że przy wyborze reprezentacyi miasta stołecznego podobne zasady mogły się ozwać i uzyskać trzecią część głosów. Zwolennicy tych zasad tworzą silną i dobrze zorganizowaną falangę i w tym celu utrzymują od dawna stowarzyszenie pod nazwą „realnościowego“ (*sic!*). Nie wiemy czy jest drugie miasto w Europie, któreby mogło poszczycić się takiem samem stowarzyszeniem, wytykającem sobie zadania społeczno-polityczne a nie wyłącznie kredytowe, coby łatwo usprawiedliwić się dało. Stowarzyszenie czynszowników byłoby nierównie mniej rażącem, w obec anormalnych stosunków lwowskich co do pomieszkań, dałoby się wielu względami uzasadnić a przecież nikomu nie śni się czynić coś podobnego. Towarzystwo „realnościowe“ skompromitowało Lwów kilka razy w ostatnich czasach, a mimo to posiada materyalne warunki żywotności i rozwoju, gdy tymczasem upadło już tyle stowarzyszeń z pięknemi, wyższemi celami. Jest to fakt, do którego przyznać się trzeba z nadzieją, że niedługo już będzie wyrządzał krzywdę reputacyi Lwowa.

(d. n.)

Wiadomości bieżące.

Gazeta polska poruszyła kwestyę niezmiernie ważną, na rozbiór której w zupełności się zgadzam. Pan Jeleński, powiada sprawozdawca, wzruszony wielką istotnie niedolą szwaczek, rzucił myśl utworzenia dla nich towarzystwa wzajemnej pomocy. Zacny ten projekt jest obecnie na drodze do urzeczywistnienia: pewien bowiem szlachetny ofiarodawca złożył rs. 100 jako nagrodę za napisanie ustawy dla Towarzystwa; powtóre zebrał się komitet damski, który ma sądzić ustawy i najlepszej wyznaczyć nagrodę; a po trzecie, niejaki pan Y. w Nr. 130 Kuryera Warszawskiego, z woli damskiego komitetu, szkic ustawy nakreślił.

Według wspomnianego szkicu, Towarzystwo zawiązuje się: 1) w celu zachęcenia swoich członków do oszczędności; 5) w celu udzielania im pożyczek, tudzież wsparć w razie choroby lub kalectwa; 3) w celu wyszukiwania i uprzystępnienia pracy. Myśli to, jak widzimy, wyborne; szkoda jednak, że według szkicu ustawy, korzystać z nich będą mogły tylko *szwaczki warszawskie*, tylko kobiety *z pracy igłą* utrzymujące się!

Otóż ten rodzaj monopolu wcale nam do przekonania nie trafia. Usłyszawszy o komitecie damskim do sądzenia ustaw, przypuszczaliśmy, że pierwotna myśl p. Jeleńskiego ulegnie koniecznemu rozszerzeniu, myśląc, zdaniem naszem sprawiedliwie, że jeżeli jabłko Newtona doprowadziło do odkrycia praw powszechnego ciążenia, to szlachetna sympatya p. Jeleńskiego dla szwaczek, powinna była przy tak sprzyjających okolicznościach, wydać przynajmniej: Towarzystwo wzajemnej pomocy dla wszystkich kobiet, bez względu na to, czy która z nich igłą, szydłem lub głową na utrzymanie swoje zarabia.

Ale komitet w ogóle, a jego sprawozdawca pan Y. w szczególności, innego byli zdania, popełniając przez to dwa kapitalne błędy:

1. Wyłączna opieka nad szwaczkami jest niefilantropijną i niepraktyczną. Wielką może być niedola szwaczek; ale czy pan Y. sądzi, że szewcowe, praczki, kwiaciarki, bony, nauczycielki, sklepowe i. t. d. mają się lepiej od nich?... Zaprawdę! komitet, który się utworzył do podania ręki jednej klasie pracownic, nie mógł bez grzechu pominąć inne. I te inne bowiem są również opuszczone, tak samo nie robią oszczędności, są wyzyskiwane, ulegają chorobom i na drodze życia tak samo spotykają głód, pokusy, a bardzo często hańbę...

Zresztą, sama redakcya Kuryera Warszawskiego, od świtu do nocy oblegana przez różnego rodzaju proszących o wsparcie, powinna wiedzieć bardzo dobrze o tem, że towarzystwo pomocy wyłącznie dla szwaczek, nie przerzedzi bynajmniej szeregów kobiet pracujących i ubogich, które prosząc o zapomogi, pożyczki i pracę, tem samem wielkim głosem upominają się o towarzystwo pomocy.

2. Szkic ustawy p. Y. przeznaczony wyłącznie dla użytku szwaczek, jest niezgodny z ekonomicznemi prawami.

Przystępując do swego wypracowania, p. Y. wiedzieć był powinien przedewszystkiem, że jedną z przyczyn biedy klas pracujących jest nadmierna ilość pracowników, co obecnie że szwaczkami ma miejsce. Niech dzisiaj liczba ich zmniejszy się o połowę, a wnet ceny się poprawią; niech dziś wzrośnie, a wnet ceny spadną, nędza powiększy się i żaden komitet, żadna ustawa nie zapobiegną jej.

Pan Y. biorąc pod wyłączną opiekę szwaczki, wbrew tej zasadzie postąpił. Odtąd bowiem jeszcze więcej niż dziś kobiet przyłączy się do tej specyalności, dla tego, że ona tylko zapewni im pomoc w nieszczęściu, pracę w czasie bezrobocia i umożliwi robienie oszczędności.

Nie widzimy potrzeby dodawać, że zawiodą się te, które tak sądzić będą, i że komitetowi niejednokrotnie przyjdzie zbytniej wyłączności i pośpiechu żałować.

Może odpowie pan Y., że ułatwiwszy się ze szwaczkami, pomyśli o innych pracownicach? Przypominamy mu, że u nas publiczne miłosierdzie nie jest także niewyczerpanem. Lepiej więc odrazu wziąć jedną koncesyę i utworzyć jedno towarzystwo, które więcej członków honorowych i rzeczywistych, a tem samem więcej kapitałów posiadać będzie. Pan Y. wie zapewne, że bez kapitałów niepodobna dziś ani towarzystwa zawiązać, ani wojny przeprowadzić, ani nawet ustawy napisać.

Z tych tedy powodów błagamy pana Y., aby szkic swój cofnął, a komitet, aby program rozszerzył, i zamiast wyrazu „szwaczki,“ używał na swych posiedzeniach wyrazu „pracownice.“ Nie wątpimy też, że szlachetny dawca 100 rs. nic nie będzie miał przeciwko temu.

Mniemamy w końcu, że p. Jeleński, który obok dobrego serca, posiada znakomity zapas wiedzy ekonomicznej, zechce zmodyfikować ciasne poglądy pana Y. Sądzimy też, że komitet dobrze zrobi, wprowadzając do swego łona więcej męzkich pierwiastków. Obecnie bowiem zasiada w nim 5 dam i 2 literatów, a jeden tylko prawnik, co wywołać może jedno z dwóch następstw: albo jakiś żelaznej woli człowiek ujmie w swoje wyłącznie ręce kierunek spraw, a wtedy mieć będziemy w towarzystwie dla szwaczek dyktaturę, albo, w razie zachowania form parlamentarnych, damy i naturalni sprzymierzeńcy ich literaci przegłosują prawnika, a wówczas doczekamy się parlamentu przeważnie uczuciowego.

Ślady wyłącznej uczuciowości widnieją już z całego szkicu pana Y., a osobliwie z zakończenia tej treści:

„W razie nieuznania żadnego z projektów za zasługujący na nagrodę, fundusz powyższy (rs. 100) obrócony zostanie na rzecz... projektowanego stowarzyszenia (!).“

Logika uczy nas, że stowarzyszenie nie może istnieć bez ustawy, i że ustawa, na mocy której stowarzyszenie będzie miało prawo „obracać fundusze na rzecz swoją,“ musi być tem samem najlepszą. Uczuciowość zaś inne ma pod tym względem zasady...

Pomieszczając niżej inną odezwę p. J. Jeleńskiego, polecamy ją pamięci naszych Czytelniczek. W ekonomicznym rozwoju pracy społecznej, tylko świadomość dokładna położenia służyć może za pewne wskazówki dróg, jakich się w danym kierunku trzymać należy. Im świadomość ta będzie bardziej drobiazgowa, tym powodzenie pewniejsze. Pan Jeleński głównie poświęciwszy się Gospodarstwu Społecznemu niewłaściwie dotąd nazywanemu Ekonomiją polityczną, wytrwale postępuje w obranym zawodzie i coraz nowsze składa dowody, że horyzont jego poglądów coraz się więcej rozjaśnia i rozszerza, że coraz usilniej stara się dowodzenia swe opierać na gruntownych zasadach, wolnych od zarzutu pobieżnego traktowania, przedmiotu a więc i niepraktyczności wniosków, rad i uwag ztąd wyprowadzanych. Jest to pracownik młody, zdolny i chętny, należący do niewielkiej gromadki w naszych oczach powstałej, szczerze pragnącej na polu piśmienniczem nieść przy-

sługi rozwojowi społecznego dobra. Zasługuje więc na poparcie pod każdym względem i uznanie słusznie mu przynależne.

O pracy kobiecej pisano wiele, gdy przyszło jednak w czyn ją wprowadzić, nasunęły się przeszkody nie małej wagi. Pan Jeleński chce je poznać, zgłębić i w nowo przedsięwziętem dziele wskazać, *gdzie praca dla kobiet naszych znajduje się*. Aby je przygotować z wymaganym pożytkiem, potrzebne mu są pewne dane o które się do całego kraju odwołuje. W budowie społecznej pomyślności jaka na barkach naszych spoczywa, tam tylko idzie wszystko jak należy, gdy każdy z poczucia obowiązku nie usuwa się od wspólnej pracy. I cegiełka jedna i garść piasku wiele znaczą, choć niewielką na pozór stanowią pomoc, jeżeli je ręka budowniczego położy tam, gdzie jem miejsce przynależy. Pan Jeleński w kwestyi pracy kobiecej pragnie zostać budowniczym, bądźmyż więc pomocnikami znoszącymi mu cegiełki i garści piasku, bądźmy pszczołami i mrówkami z odrobinek budującemi gmachy zdumiewających swych siedzib, aby nie powiedziano kiedyś, że pracy było wiele, ale brakło robotników.

W odezwie swej którą polecamy p. Jeleński powiada:

Do pracy jaką obecnie przygotowuję do druku, a której zadaniem będzie bliższe i praktyczne wskazanie: „*Gdzie praca dla kobiet naszych*“ potrzebne mi są wiadomości o warsztatach w kraju naszym rękodzielniczych, mianowicie zaś introligatorskich, szewckich i t. p. przez kobiety prowadzonych lub też w których kobiety przeważnie przyjmują udział. Głównie idzie o to, jak dawno warsztat założony, ile zatrudnia pracownic, ile wynosi jego produkcya roczna i w jakiej ilości oraz gdzie, czy na miejscu lub w innych miejscowościach wyroby są zbywane.

Niemniej pożądanemi byłyby dla mnie wiadomości o zakładach: fotograficznych, fryzyerskich, złotniczych, drukarskich, wyrobów sztucznych kwiatów, rękawiczniczych, wyrobów galanteryjnych i t. p., wreszcie o kantorach handlowych, biórach telegraficznych, spedycyjnych i t. p., w których kobiety pracują, i w ogóle wiadomości dotyczące *nowych sposobów kobiecego zarobkowania*.

Sądząc, że ludzie pojmujący ważność kwestyi nie odmówią mi tego rodzaju współpracownictwa odnoszę się z prośbą o nadsyłanie wiadomości powyższych pod adresem: „Czytelnia Jana Jeleńskiego w Warszawie Nowy Świat Nr 4, w mieszkaniu Redakcyi Niwy.“

Warszawa dnia 28 Czerwca 1876 r.

Jan Jeleński.

Przegląd literacki.

Eli Makower, powieść E. Orzeszkowej, dwa tomy. Warszawa, 1875.

Tytuł powieści, będący żydowskiem nieco makaronicznem nazwiskiem, kazałby przypuszczać że autorka daje nam opowiadanie z życia żydowskiego i że żyd jest głównym jego bohaterem. Po przeczytaniu jednak całej pracy, przekonywamy się, że tak zupełnie nie jest. Autorka daje nam tu raczej obraz obszerny, bogaty w szczegóły i epizody, do którego wchodzi mnóstwo osób, szczególniej z klasy posiadaczy ziemskich, której smutne koleje w epoce ciężkiego przełomu stanowią główną treść opowiadania. Zła egoistyczna dewotka, choć ciągle mająca Boga na ustach, pani Orchowska, wychowuje córkę bezduszną i próżną, bezczynną istotkę, która potem wydana za mąż za podobnież próżnego amatora koni, daje się uwieść przebiegłemu awanturnikowi i spekulantowi Poryckiemu, przybywającemu jako ajent spółki zakupującej dobra w owej okolicy. W skutek zubożenia, ciężkich okoliczności, a po części próżniactwa i dawnych nałogów używania bez pracy, wielu posiadaczów daje się skusić ułudnemi obietnicami i wyzuwa się z ojczystego kawałka ziemi, ażeby potem, przy pomocy prawnych kruczków, użytych przez nabywców i ajentów, pójść niemal z torbami. Ten właśnie przedmiot, z dziwną prawdą i o ile było można, wszechstronnie i po mistrzowsku skreślony, stanowi kwestyą społeczną powieści; wiadomo bowiem, że autorka w lepszych swoich utworach, do których i Makowera zaliczamy, nie poprzestaje na czczem zaciekawieniu czytelników i pustych igraszkach fantazyi, lecz za myśl przewodnią obiera sobie zwykle jakąś kwestyą społeczną i takową usiłuje jeśli nierozstrzygnąć podług swgo pojmowania i swojej możności, to przynajmniej roztrząsnąć i wyjaśnić. W ogołacaniu właścicieli ziemskich i zastawianiu na nich sieci, w które, z właściwą narodowi od wieków lekkomyślnością, sami chętnie leźli, bierze udział żyd Eli Makower, który pod tym względem przeważnie jest przedstawicielem swego plemienia, że widzi i pojmuje jedynie zysk materyalny, wzruszając ramionami na wszelkie niezrozumiałe dla siebie ideje i teorye, jak prawdziwy *pozytywista*. Cała ta główna i najważniejsza akcya powieści roztacza się dopiero w tomie drugim, skupiającym cały interes i zajęcie czytelnika; tom pierwszy jest raczej prologiem, zawierającym opowiadanie o chorobie i o śmierci Kajetana Orchowskiego, dzieje wychowania Lili i jej brata szlachetnego i wyróżniającego się śród rodziny Mieczysława, wyborną charakterystykę Konrada Ręczyca i jego matki, myślącej tylko o konforcie i zabawach; dalej niemniej mistrzowski obraz domu poczciwego mazyciela i poety Łozowicza, pierwsze zarysy charakteru powętnej guwernantki Michaliny, przyszłej żony Mieczysława Orchowskiego i wreszcie pierwotną działalność Elego Makowera i jego krewnych, początkowo jako dzierżawców majątków szlacheckich. O gospodarowaniu żydowskiem na tych dzierżawach, praktykującem się i obecnie w zachodnich guberniach cesarstwa, znajdujemy tu wiele zajmujących szczegółów. Wyborny jest także w tymże pierwszym tomie obraz domu podupadłego pod każdym względem, skutkiem okoliczności, urzędnika p. Augustyna, tytułowanego „sowietnikiem.“

W drugim więc tomie rozwija się akcya, że tak powiemy społeczna. Co do żywiołu romansowego stosunek Mieczysława z Michaliną kończy się już małżeństwem, a roztacza się natomiast przed oczami czytelnika smutny, a więc bardziej ze smutnem tłem wypadków harmonizujący, występny stosunek Poryckiego z Lilą. Intryga ta przywodzi do upadku biedną Lilę, obałamuconą pozytywnemi teoryami awanturnika, który wystudził jej serce, nieuzbrojone dobrze przez matkę. Najświętsze cnoty i obowiązki nazywa Porycki „przesądami“ głosi zasady mniemanej swobody i wolnej miłości. Lila ginie bezpowrotnie i w końcu autorka sprząta ją z tego świata.

Dzieje wyzucia szlachty z majątków ojczystych kreślone po mistrzowsku. Ofiarami Poryckiego i Makowera stają się wszystkie w pierwszym tomie występujące osoby, jak Ręczycowie i Łozowicz; w końcu ta sama ruina grozi Mieczysławowi Orchowskiemu. On jeden między bezmyślnymi swymi spółobywatelami pojmuje święte obowiązki, nakazujące mu walczyć w obronie spuścizny przodków; walczy też do ostatka, podtrzymywany i krzepiony przez swą żonę Michalinę, lecz w końcu już i on ma uledz konieczności, oplątany intrygami agentów. Tu jednak następuje jego ocalenie i rozwiązanie powieści. Dorosły już młodzieniec, syn Elego Makowera, który wychował się na bardzo pozytywnego gardzącego przesądami człowieka, umyka, zabrawszy ojcu gotówkę.

Cios ten zmusza Makowera, do zastanowienia się czy dobrze zrobił, wychowując syna w ten sposób i własnym przykładem zachęcając go do przekładania pieniędzy nadewszystko. Obraz boleści zawiedzionego ojca skreślony wymownie i psychologicznie prawdziwy: ojciec bowiem — żyd czy chrześcijanin — najlepiej życzy swemu dziecku, nie chciałby w głębi duszy, ażeby syn odziedziczył jego wady, zwłaszcza gdy widzi, że takowe na złe mu wyszły, a choć Makower zbieranie pieniędzy uważał za jedyny cel życia, uprawniający wszelkie środki, jednak postępek syna zmusił go do zastanowienia się i obudził w nim wątpliwość, czy istotnie praktyczna jego mądrość była prawdziwą. Do tego wypadku przyłączył się jeszcze drugi, który u autorki jest najważniejszym i główną sprężyną ocalenia Mieczysława od ruiny. Stary Judel, ojciec Elego, który był niegdyś krawcem i wszelakiej nędzy zaznał, na starość otoczony przez syna wszelkiemi wygodami, zastanawia się nad religijnemi i moralnemi kwestyami, a że przytem w młodości doświadczył dobrodziejstwa od Kajetana Orchowskiego, ojca Mieczysława, staje stanowczo po stronie tego ostatniego. Eli, który rozmawiając z Mieczysławem, z trudnością zdołał zrozumieć jego pojęcia o wyższych celach i obowiązkach, daje się w końcu umierającemu ojcu przekonać, że Bóg jest jeden u chrześcijan i u żydów, że nie wymaga on bynajmniej tępienia i prześladowania zwolenników jednej religji przez wyznawców drugiej, że prawa moralności stosują się nie tylko do współwyznawców, lecz także i do obcych. Tym sposobem wyłączna talmudyczna moralność Elego, który dotychczas dobrze czynił jedynie swoim spółwyznawcom, chwieje się i upada. Po długiej walce przedświtu nowych pojęć z wkorzenioną w duszy Elego chciwością — walce odmalowanej wiernie i dobitnie — żydowska moralność ustępuje miejsca wyższym pojęciom. Eli nietylko że usuwa się od machinacyi, które miały na celu zgubę Mieczysława, ale owszem podaje mu rękę pomocy i przemawia do niego, niejako w imieniu całego swego plemienia temi słowy:

My żydzi dalej widzim od panów, tam gdzie idzie o pieniądze, o korzyści i każdą robotę około tego prędzej od panów zaczniem, a jak już zaczniem, to chodzim około niej pilnie. My przewidujący jesteśmy i cierpliwi, my kawałkiem chleba i główką cebuli możem żyć, byle tylko tego dobić się czego chcemy.... U panów z takiemi rzeczami bardzo kiepsko idzie. Dla czego panowie biedni robią się i bardzo dużo tracą i cierpią. Ale panowie mają to czego u nas nie ma. Panowie mają delikatny rozum i dobrze wiedzą, co to honor, co to edukacya i. t. d. Oto mnie się zdaje, że dobrze byłoby, gdybyśmy tem, co mamy, jedni z drugimi dzielili się, gdyby panowie od nas nauczyli się być przewidującymi, obrotnymi i wytrwałymi, a nas uczyli, co to jest prawdziwy honor i prawdziwa edukacya. A czy pan wie, czego trzeba, ażeby takie przymierza, jak nasze, zawierały się często?. Trzeba żeby my żydzi mogli panów szanować. (*d. n.*)

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 22 Іюня (4 Іюля) 1876 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N 28.

N. 1—2. Długie nocne dziecinne sukienki. Krój N. IV, Fig. 13—15.

Ryc. 1—2 przedstawia z przodu nocną dziecinną sukienkę mającą oprócz karczka 65 cent. długości a 150 szerokości, którą podług załączonego wzoru, odrobić można z flanelki kolorowej lub białej, albo z piki lub z barchanu i urządzić do zapinania i wiązania z tyłu. Zakłady w zdłuż i poprzek przestębnowane, mają 2 cent. głębokości.

N. 3. Długa spódniczka dla dzieci noszonych na ręku. Krój staniczka jak do ryc. 7 i 8.

Bez klinów przykrojona perkalowa spódniczka, mająca 122 cent. szerokości a 78 długości, w górze jest zmarszczona i do staniczka przyszyta szwem do wierzchu który przykrywa stębnowana listewka. Z tyłu otwarta i na tasiemki wiązana spódniczka, u dołu przystrojona jest zakładkami i szlaczkiem haftowanym.

N. 4. Długa sukienka z fartuszkiem. Krój sukienki N. XVII, Fig. 44—46. Krój fartuszka N. XIV, Fig. 41.

Sukienka wełniana w kratę białą i pąsową na tle orzechowem, oszyta jest pliskami z szwajcarskiego perkalu albo kaszmiru pąsowego i przystrojona kokardkami z czarnej aksamitki. Dla ochronienia sukienki od plam i brudu, dodany być może długi i szeroki bluzkowy fartuszek z perkaliku kolorowego lub białego szyrtyngu, przykrojony podług formy do ryc. 13 w N. 27, tylko odpowiednio sukience przedłużony.

N. 5—6. Długa spódniczka flanelkowa. Krój stanika N. VI, Fig. 18—18-a.

N. 7—8. Długa sukienka dla dziecka noszonego na ręku. Krój N. XVII, Fig. 44—46. Wycięcie stanika oznaczone linijką na Fig. 44.

Biała batystowa lub muślinowa sukienka, suto przybrana jest wstawkami i falbankami haftowanemi 2 i 3 i pół cent. szerokiemi, których przyszycie przykrywają wązkie, stębnowane listewki. Do przyciągania w pasie służą tasiemki wewleczone w listewkę przeszytą dwa razy na które z wierzchu można dodać szarfę ze wstążki kolorowej. Garnirunek stanika odznaczony jest linijką na Figurze 44.

N. 9. Długa poduszka do noszenia dziecka, wraz z garniturowym kaftanikiem. Wzór kroju i deseń haftu N. VIII Figura 22—23.

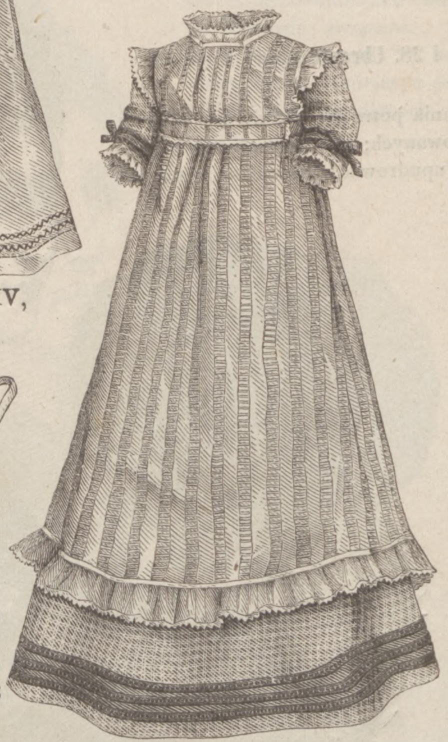
Do poduszki 114 cent. długiej a 42 cent. szerokiej, w górze zaokrąglonej, dodane są przy powłoczkach z boku w górnej części, podwójne perkalowe kawałki, mające 50 cent. długości a 20 szerokości, (na fig. 22 linijką oznaczone) które w środku wiążą się na tasiemki i przytrzymują dziecię w poduszce. Na wierzch zaś dla ozdoby dodane są przez całą długość boków dwie części oddzielnie na Fig. 22 odrysowane, które z przodu pod garnirunkiem, zapina się na guziczki, a z wierzchu zdobi kokardami z kolorowej wstążki.



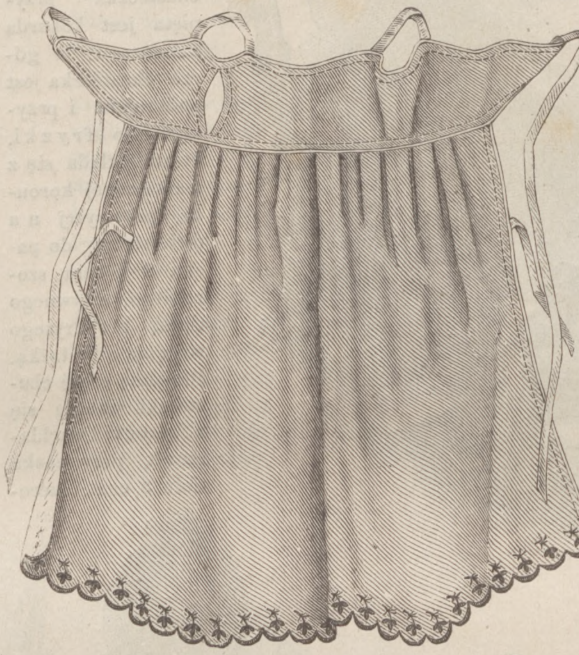
N. 1—2. Długie nocne sukienki dziecinne. Krój N. IV, Fig. 13—15.



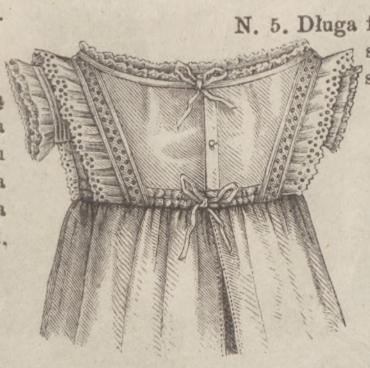
Długa spódniczka dla dzieci noszonych na ręku. Zobaczyć ryc. 7—8.



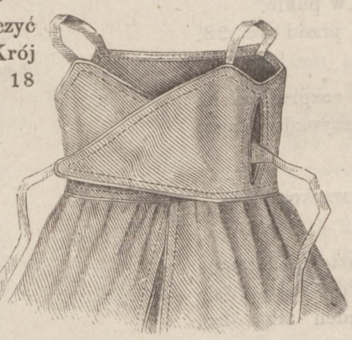
N. 4. Długa sukienka i fartuszek. Krój sukienki N. XVII, Fig. 44—47, fartuszka N. XIV, Fig. 41.



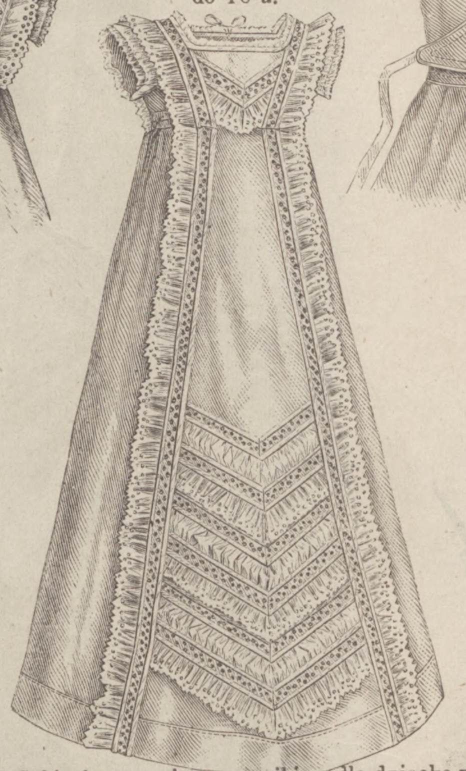
N. 5. Długa flanelowa spódniczka, zobaczyć stanik z tyłu na ryc. 6. Krój stanika i deseń N. VI, Fig. 18 do 18-a.



N. 7. Plecy sukienki do ryc. 8.



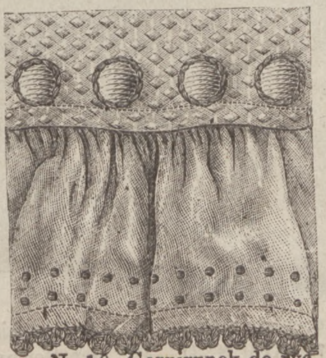
N. 6. Plecy do ryc. 5.



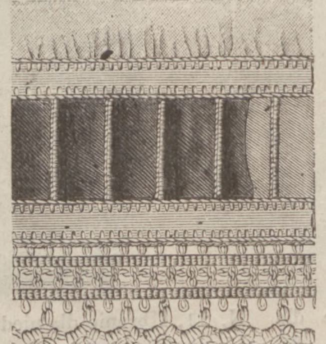
N. 8. Sukienka z wyciętym stanikiem dla dziecka noszonego na ręku. Krój N. XVII, Fig. 44—46.



N. 9. Długa poduszka wraz z kaftanikiem dla niemowlęcia. Wzór kroju i deseń N. VIII, Fig. 22—23.



N. 10. Garnirunek do ryc. 15 w N. 27 Tygodnika.



N. 12. Pasek do rękawów do sukienki ryc. 11.



N. 11. Sukienka do chrztu i poduszka haftowana. Krój i deseń N. VII, Fig. 19—21.

N. 11 i 12. Poduszka i sukienka do chrztu. Forma i deseń haftu N. VII, Fig. 19—21.

Tak powłóczka jak i sukienka są z najpiękniejszego muślinu, na kolorowem podwleczeniu. Haft na powłóczce i w kształcie fartuszka na sukience, robi się na cieniutkim płótnie, ściegiem dzierganym, wycina starannie tło, połączywszy części deseniu kratką ze słupków dzierganych. Do dziergania używa się nici glansownych, średniej grubości. Ryc. 12 przedstawia pasek do rękawków, z wierzchu haftowany w proste słupki, przez które przewłóczy się kolorową wstążkę. Brzegi haftu, mankiety i wykrój pod szyją oszywa się koronką wązką fabryczną albo własnej roboty.

N. 13—14 i 28. Ubranie głowy w pukle.

Do takiego ubrania potrzeba włosów nie długich i wcale nie pomadowanych; dla oczyszczenia z olejków, trzeba włosy upudrować a potem szczotką puder wyczesać. Wszystkie włosy rozdziela się najpierw na dwie części, z tyłu przez środek a z przodu trochę z boku; następnie włosy podczesuje się w górę, tapiruje w końcach i zwija w rulony przypięte podwójnemi szpilkami a z boków podpięte małemi grzebyczkami. Pozostałe z tyłu głowy i nad czołem krótkie włosy układa się w drobne loczki, do których zwijania najlepiej posłuży szyfer przy ogniu rozgrzany, na który nawinięte włosy kręcą się dobrze i trzymają długo.



N. 13—14. Uczesanie w pukle. Tył głowy. Patrz przód ryc. 28.

N. 14—15 i 29—30. Uczesanie głowy z warkoczami.

Część włosów odbiera się na przód, resztę podczesuje w górę wiąże, układa w pukle pomiędzy które wpina się grzebień. Końce włosów plecie się na jeden albo dwa warkocze i otacza niemi pukle. Przy krótkich włosach warkocze są przypięte oddzielnie, w długie wpleta się tylko podkładki podane na ryc. 31—33.

Włosy z przodu mogą być gładko podczesane albo karbowane, a końce zwinięte w loki lub luźno spuszczone. Ryc. 29—30 wskazuje sposób czesania.

N. 17—18. Chusteczka z tiulu i koronek.

Na tylną część chusteczki ułożoną w 11 cent. szeroką, potrójną kontrafałdę; potrzeba kawałka grosbotowego tiulu créme, trzymającego 61 cent. długości a 30 szerokości, oszytego z brzegów koronką $4\frac{1}{2}$ cent. szeroką. Przez środek kontrafałdy naszyta jest wzdłuż gładko wstążka créme $4\frac{1}{2}$ cent. szeroka, przy wcięciu w pasie chusteczka przypięta jest kokardą z końcami. W górze chusteczka jest podkrojona i przyszyta do fryzki, którą układa się z marszczonej koronki, przyszytej na dwie strony, do paska $2\frac{1}{2}$ cent. szerokiego, sztywnego tiulu, przykrytego wązką wstążką. Przednią część chusteczki układa się z koronki wachlarzowo, przy pasku tiulu 3 cent. szerokim i przepina kokardami. Na kokardy bierze się wstążkę 7 cent. szeroką.



N. 17—18. Chusteczka z tiulu i koronki.

N. 19. Ubranie dla chłopczyka lat 4—7. Stosowna forma przy ryc. 1—2. w N. 23 Tygodnika.

Całe ubranie jest z płótna w paski białe i niebieskie. Bluzka zapięta na guziki białe rogowe, przybrana plisami niebieskiemi płóciennemi z wypustkami białemi.

N. 20. Ubranie dla dziewczynki lat 5 do 8. Forma kaftaniczka jak do ryc. 6 i 7 w N. 19.

Ubranie składa się ze spódniczki, bluzkowego stanika i wcinanego paltocika bez rękawów odrobionych z perkalu w kratkę niebieską. Na spódniczkę kraje się jedne kliny, bryt przedni ścina kliniasto, a bryt tylny jeden prosty. Wolanty z nagłówkiem, 9 cent. szerokim, u dołu mają białą wypustkę. Bluzkę najlepiej przyczepić do spódniczki, a do przepasania dać pasek z przypiętą z tyłu szarfą, albo też szarfę ułożyć w fałdy i zapiąć z tyłu. Paltocik, szarfy i kołnierz marynarski, objęte białą wypustką i oszyte szlaczkiem haftowanym 2 cent. szerokim. Kapelusz biały słomkowy ubrany kwiatami i wstążką niebieską.

N. 21. Ubranie niedorosłej panienki. Opis przy rycinie 3 w N. 27.

N. 22. Suknia formą Princésse dla dziewczynki lat 7—9.

Całe przystrojenie białej pikowej sukienki, stanowią guziki z konchy perłowej, gęsto naszyte w trzy rzędy z przodu i raz na zwierzchnim szwie rękawów; oraz szarfa jasno-niebieska lekko zarzucona i z boku na kokardę związana. Za podstawę kroju służyć może forma do ryc. 35 w N. 10 Tygodnika mód, którą trzeba zmniejszyć podług miary, i odrzucić fałdy dodane na plecach.



N. 15—16. Uczesanie z warkoczami. Przód. Patrz tył głowy ryc. 29—30

N. 23—24 i 40. Ładne ubranie letnie. Suknia formą princesse i vêtement. Krój N. IX, Fig. 24—28-a.

Ryc. 23 i 24 przedstawia z przodu i z tyłu ubranie podług jednego fasonu, odrobione z odmiennych materyjałów Na ryc. 23 widzimy suknię formą Princesse, z krótkiemi rękawkami, z przodu na guziki zapinaną, odrobioną z Faille w jasnym kolorze, a vêtement z grenadyny czarnej w pasy jedwabne. Na ryc. 24 przy sukni Faille srebrno popielatej, vêtement jest z grenadyny tego samego koloru.

Ryc. 40 przedstawia oddzielnie samą suknię przykrojoną podług Fig. 24—28-a; na Fig. 27 mamy podaną miarę wstawionego od dołu z tyłu bryta, który nadaje zręczną formę i potrzebną szerokość trenowi. Od dołu jest on skośnie z brzegów zcięty, z boków do tylnych brytów przyszyty, a w górze w głęboką podwójną, do spodu



N. 19. Ubranie dla chłopczyka lat 4—7. Stosowny krój przy r. 1—2 w N. 23.

N. 20. Ubranie dla dziewcz. lat 5—8.



N. 21. Ubranie dla niedorosłej panienki, przód ryc. 3 w N. 27. Krój N. II Fig. 5—9.

N. 23. Ubranie strojne letnie. Suknia i vêtement formą princesse. Przód r. 24, sama suknia r. 40. Krój N. IX, F. 24—28-a.

N. 22. Suknia formą princesse, dla dziewczynki lat 7—9.



N. 24. Strojne letnie ubranie. Przód do ryc. 23. Krój N. IX, Fig. 24—28-a.

N. 25. Ubranie z białego batystu z wstawkami i falbanką haftowaną. Krój tuniki podług ryc. 27 w N. 25.



N. 26—27. Sukienka z wyciętym stanikiem, dla małych chłopców i dziewczątek. Krój N. XI, Fig. 35—36.

obróconą kontrafałdę ułożony, którą wszywa się w tasiemkę i przyczepia do podszewki spódnicy. Plisowanie 16 cent. szerokie, 2 razy przestębnowane, stanowi garnirunek. Vêtement przykrawa się podług formy sukni Princèsse, a potrzebne zmiany oznaczone są punkcikami, na Figurze 24-a—26-a. Model vêtement miał 330 cent. dolnego obwodu, 118 cent. długości z przodu. 96 z tyłu, od wcięcia w pasie. Przody w piersiach mają tylko jedną zaszewkę i są węższe niż do sukni, (u dołu trzymają po 43 cent) przy boczkach zaś dodaje się od wcięcia materyjału, jak to oznaczają punkciki na Fig. 25-a. Plecy kraje się podług Figury 26-a, lecz tylko z długą baskiną, której części są luźno spuszczone, a pod takowemi zeszywają się ze sobą brzegi boczków, a zbywająca ich szerokość w górze, układa się w kontrafałdę. Garnirunek vêtement stanowią plisy z repsu w tym co grenadyna kolorze, podszyte sztywnym muślinem, a u dołu oszyte frendzlą; naszycie plis oznaczone jest na Fig. 24-a—26-a. Z tyłu oprócz plisy naszyte 3 razy plisowanie, ułożone z gładkich, 7 cent. szerokich, w podłuż ciętych pasów grenadyny. Rękawy są u dołu rozszerzone przefałdowane i pliską przepięte. Kokardy ułożone z wstążki repsowej, 6 cent. szerokiej.



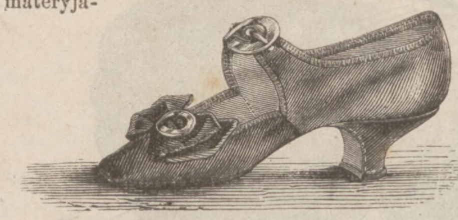
N. 29. Sposób czesania do ryc. 15—16, plecenie warkocza z tyłu.



N. 28. Sposób czesania do ryc. 13—15.



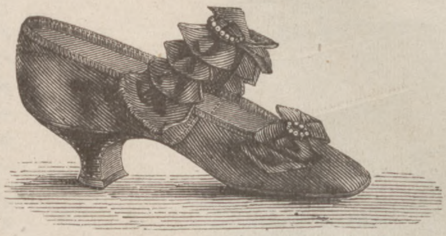
N. 30. Ułożenie własnych włosów do ryc. 15—16,



N. 34. Spacerowy trzewik serżowy.



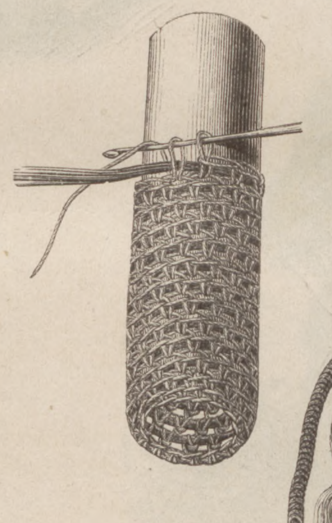
N. 36—37. Modne pończochy.



N. 35. Spacerowy trzewik z kozłowej skóry.



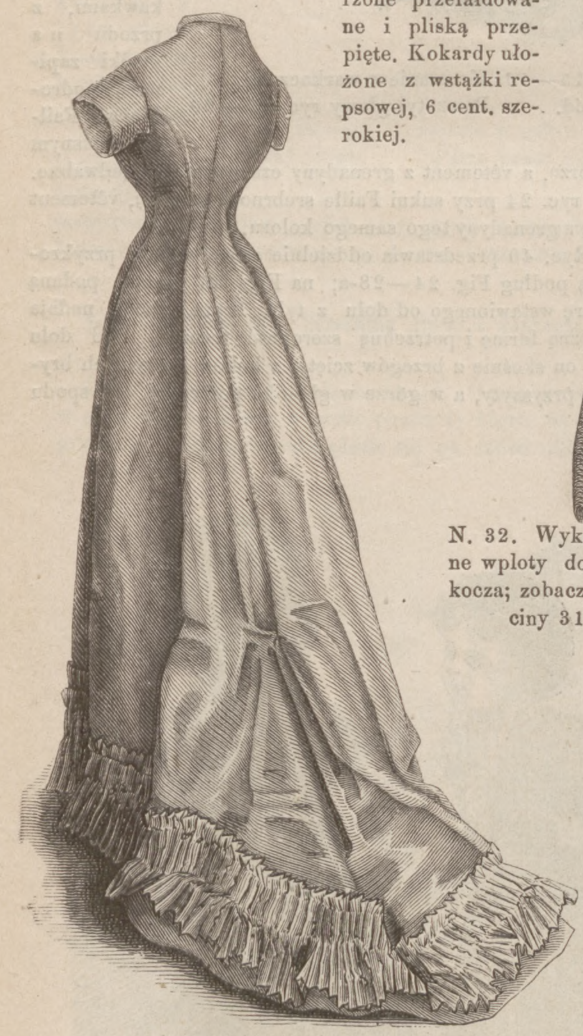
N. 32. Wykończone wploty do warkocza; zobaczyć ryciny 31 i 33.



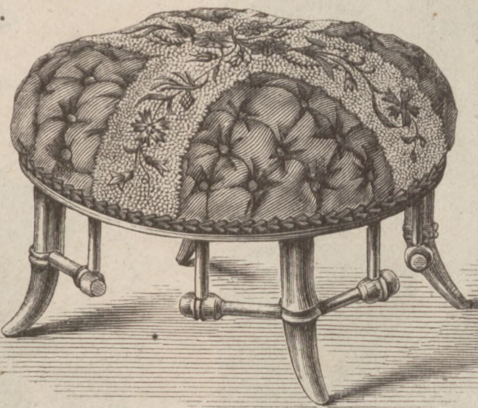
N. 31. Sposób robienia wplotów do warkocza, szydełkiem na podłożeniu włosienia.



N. 33. Warkocz z podłożonemi wplotami. Zobaczyć ryc. 31 i 32.



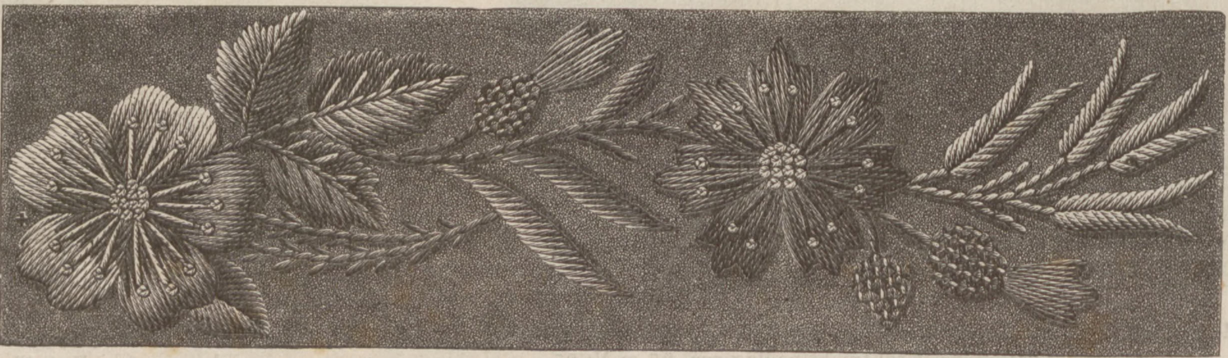
N. 40. Spodnia suknia do ryc. 23—24. Krój N. IX Fig. 24—28-a.



N. 38. Stołeczek pod nogi ozdobiony haftem płaskim. Deseń Fig. 49 i ryc. 39.



N. 41. Suknia i vêtement z materyjału gładkiego i broszowanego. Krój podług ryc. 1 i 11 w N. 19 Tygodnika.



N. 39. Gałązka haftu płaskiego do ryc. 38.

N. 25. Suknia z białego batystu, z haftowanemi wstawkami i falbankami. Ułatwienie kroju tuniki, zobaczyć w N. 26 Tygodnika, ryc. 27.

Spódnicę zdobią 4 rzędy plisowań, 9 cent. szerokich; prostą tunikę (przykrojoną podług ryciny 27 w N. 25) oszywa się plisowaniem, wstawką i falbanką z haftem madera. Rogi u dołu pozostają nie ścięte, a z boków wstawka i falbanka tylko do sfałdowania dochodzi. Stanik i rękawy przybrane odpowiednio tunice.

N. 26. Wycięta sukienka dla małego chłopczyka i dziewczynki. Krój Nr XI, Fig. 35—36.

Ten fason najodpowiedniejszy jest do materyjałów do prania, jak pika, płótno kolorowe lub perkale alzackie. Przód i plecy kraje się podług Fig. 35, małe zmiany oznaczone są linijkami. Z przodu spódniczka kraje się razem ze stanikiem, a do pleców dodaje się bryt prosty 81 cent. szeroki, u góry w 5 równych kontrafałd ułożony. Wykrój stanika może być albo kwadratowy, szmizetką dopełniony, albo okrągły. Szarfę można przepasać w koło stanu, albo przyszyć do boków i przewiązać z tyłu. Do przybrania sukienki służy szlaczek haftowany albo koronka tryming lub szydełkowa.

N. 31—33. Wploty do warkocza.

Zwykle sprzedawane podkładki i wploty do warkoczy, ze sztucznych farbowanych włosów, są ciężkie i nie miłe, zwłaszcza w lecie. Daleko dogodniejsze są ruloniki robione na podłożeniu z włosienia sposobem szydełkowym, z grubej do koloru włosów dobranej bawełny.

(dok. nast.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1876 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 27 i 28.

N. I. Ubranie domowe dla panów ryc. 26 w N. 27 Tygodnika.

Fig. 1. Przód (A, B, C, D, G, I, jedno załamanie formy)
Fig. 2. Połowa pleców (A, B, C, D, H, jedno załamanie)
Fig. 3. Rękaw (E, F, G)
Fig. 4. Połowa kołnierza (H, I)

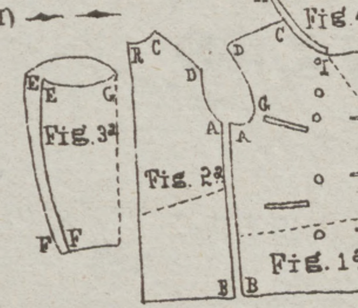


Fig. 1-a—4-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części formy.

N. II. Ubranie dla panienki lat 12—15. Ryc. 3 w N. 27 i ryc. 21 w Numerze 28.

Miara połowy górnej objętości stanika 41, w pasie 32 centymetry.

Fig. 5. Przód do vêtement (K, N, O, P)
Fig. 6. Boczek (K, L, M, :, *)
Fig. 7. Plecy (L, M, N, O)
Fig. 8. Rękaw (P, Q, R, S)
Fig. 5-a—8-a. Zmniejszony rysunek formy vêtement do ryc. 3 i 21.
Fig. 9. Wzór kroju spódnicy.
Fig. 9-a. Zmniejszony rysunek spódnicy.

N. III. Sukienka ranna dla dzieci lat 1—3. Ryc. 11—12 w N. 27.

Fig. 10. Połowa przodu (T, U, V, W, X)
Fig. 11. Plecy (T, U, V, W)
Fig. 12. Rękaw (X, Y)
Fig. 12-a. Deseń haftu do ryc. 11—12.

N. IV. Forma do sukienki nocnej i fartuszka dla dzieci, ryc. 8—9 w N. 27 i 1—2 w N. 28.

Fig. 13. Połowa przodu i pleców (a, *, :)
Fig. 14. Połowa karczka (*, :)
Fig. 15. Rękaw (a, b)

N. V. Sznuróweczka dla dzieci lat 1—2. Ryc. 6 w N. 27.

Fig. 16. Połowa przodu i pleców (c, d, e)
Fig. 17. Ramiączko (e)

N. VI. Stanik do długiej dziecinnej spódniczki. Ryc. 5—6 w N. 28.

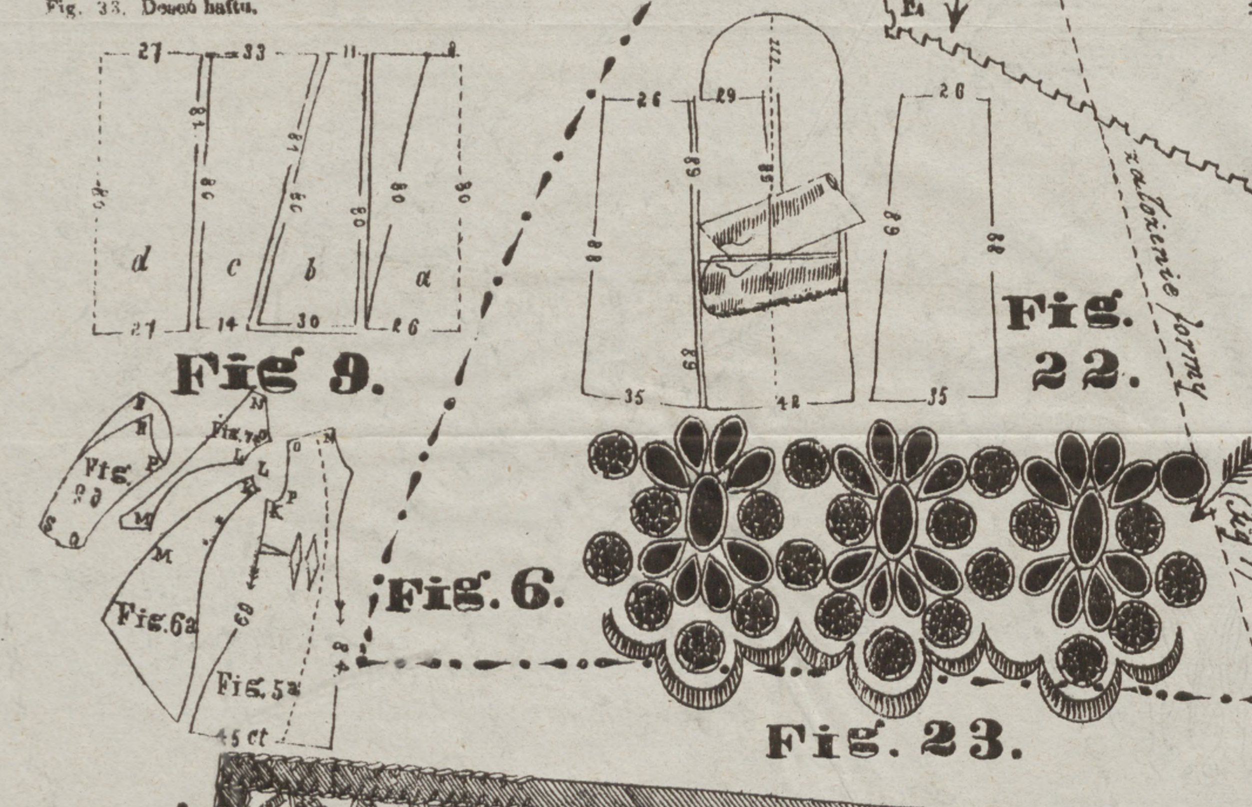
Fig. 18. Połowa stanika (*)
Fig. 18-a. Deseń haftu do ryc. 6.

N. VII. Sukienka haftowana do chrztu.

Fig. 19. Boczek i plecy (f, g, h, i, k)
Fig. 20-a. Górna część haftowanego przodu (f, g, *, :)
Fig. 20-b. Dolna część haftowanego przodu (*, :)
Fig. 21. Rękaw (k, l)

N. VIII. Długa poduszka do noszenia dzieci i odpowiednio przybrany kaftaniczek. Ryc. 9 w N. 28.

Fig. 22. Wzór kroju poduszki.
Fig. 23. Deseń haftu.



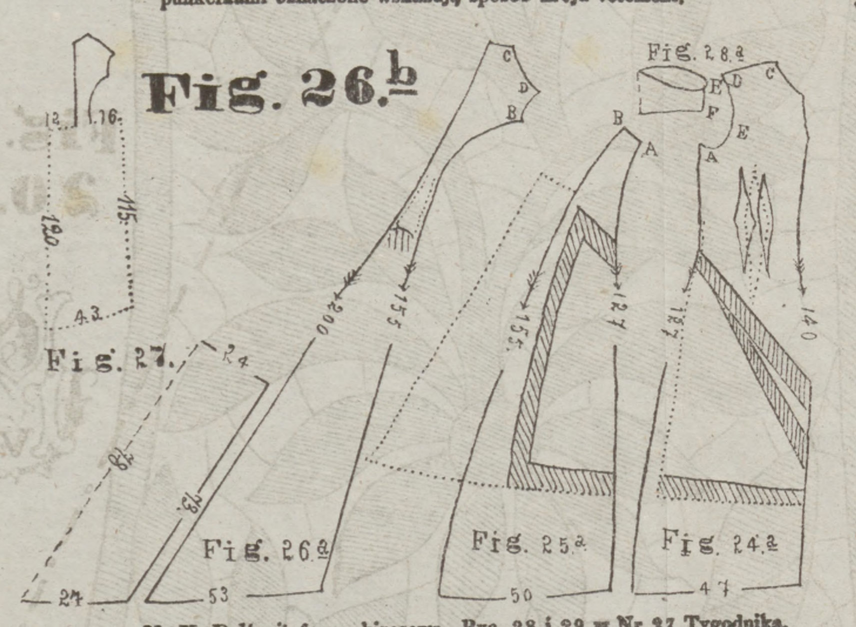


Dodatek z krojami i deseniami do N. 27 i 28.

N. IX. Suknia i vêtement formą Princesse do ryc. 28—24 i 40 w Nr 28 i do 27 w Nr 26 Tygodnika.

Miara połowy górnej szerokości stanika 50, w pasie 34 centymetry

Fig. 24. Przód do sukni Princesse (A, C, D, E)
Fig. 25. Boczek (A, B)
Fig. 26. Plecy (B, C, D)
Fig. 26-b. Wzór dopełnienia pleców do vêtement ryc. 27 w Nr 25.
Fig. 27. Zmniejszony rysunek wstawionego trenu.
Fig. 28. Rękaw (E, F) × • × • × • × •
Fig. 24-a—28-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części sukni. Linje punkcikami oznaczone wskazują sposób kroju vêtement.



N. X. Paltocik formą kirasową. Ryc. 28 i 29 w Nr 27 Tygodnika.

Fig. 29. Przodek (G, H, L, M, N, S) jedno załamanie formy.
Fig. 30. Boczek (G, H, I, K)
Fig. 31. Plecy (I, K, L, M, R) + + + +
Fig. 32. Rękaw (N, O, P, Q, *)
Fig. 33. Połowa mankieta (O, *)
Fig. 34. Kołnierz (R, S)

Fig. 29-a—34-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części paltocika.

N. XI. Wycięta sukienka dla małego chłopczyka. Ryc. 26—27 w Nr 28.

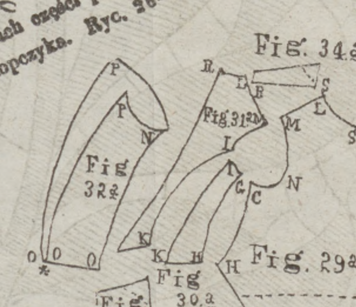


Fig. 35. Połowa przodu i pleców (T, U, V, W, :) 1 założenie formy. × – × – ×
Fig. 36. Połowa rękawa (:, *)

N. XII. Sukienka dla dzieci lat 1—3. Ryc. 10 w Nr 27 Tygodnika.

Fig. 37. Połowa przodu (X, Y)
Fig. 38. Boczek (X, Y, Z)
Fig. 39. Rękaw (Z, +) — • — • — • — • —
Fig. 39-a—39-b. Desenie do haftu, do ryc. 10.

N. XIII. Majtki dla dzieci od lat 2—4. Ryc. 4—5 w Nr 27 Tygodnika.

Fig. 40. Połowa majtek (a, b, c, d, :, *)

N. XIV. Forma na długie i krótkie fartuszki bluzkowe Ryc. 18 w Nr 27 i ryc. 4 w Nr 26 Tygodnika mód.

Fig. 41. Połowa fartuszka bluzkowego, z dodaniem linii oznaczających fartuszek długi dla dziecka noszonego na ręku (e, f, g, h, i, +)

N. XV. Napierśnik zapinany na guziki. Ryc. 14 w Nr 27.

Fig. 42. Połowa napierśnika. + • + • + •

N. XVI. Napierśnik wiązany na tasiemki. Ryc. 15 w Nr 27.

Fig. 43. Połowa napierśnika.

N. XVII. Długa sukienka ze stanikiem wyciętym i z odznaczeniem stanika pod szyję, forma do ryc. 4, 7 i 8 w Nr 27 Tygodnika.

Fig. 44. Połowa stanika (k, l, m, n, o)
Fig. 45. Rękaw (o, p) * * * * * *
Fig. 46. Połowa przedniego bryta (m, n)

N. XVIII. Kołnierzyk i rękawki. Ryc. 30—31 w Nr 27 Tygodnika.

Fig. 47. Połowa kołnierzyka.
Fig. 48. Połowa mankieta. o o o o o o

Stołeczek pod nogi. Ryc. 38—39 w Nr 28 Tygodnika.

Fig. 49. Część desenia do haftu płaskiego do ryc. 38. (+).



